POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 1-go lutego 1941r.*** **Rok III. Nr. 5**

NIE EMIGRACJA—LECZ WOJNA

STRASZNE LATO

Gdy przed sześcioma miesiącami przybyliśmy do Anglii, sytuacja nasza i naszych sprzymierzeńców przedstawiała się groźnie. Olbrzymie nadzieje, łączące się z potęgą Francji rozwiały się w dniu, w którym mała grupa ludzi, rządząca Trzecią Republiką—zwątpiła w niespożyte siły narodu francuskiego i weszła na śliską drogę pertraktacyj z Hitlerem. Front niemiecki wydłużył się od Przylądka Północnego aż po granicę hiszpańską. Na Morzu Śródziemnym flota angielska musiała staczać ciężkie walki ze sprzymierzoną jeszcze wczoraj flotą francuską. Katastrofa kontynentu europejskiego wzmocniła prądy izolacyjne w Stanach Zjednoczonych. O jakimkolwiek wdaniu się Ameryki w tym strasznym lecie 1940 roku —mowy być nie mogło. Wybrzeża Wielkiej Brytanii nie były ubezpieczone i niebezpieczeństwo niemieckie co raz silniej pukało do ścian angielskich.

Dzięki wysiłkom, jakie podjął Wódz Naczelny, generał Sikorski —udało się ocalić większość armii polskiej i przewieść ją do Anglii. Pod sztandarami, które pułki polskie niosły jeszcze z Rzeczypospolitej—lśniła w naszych rękach broń. Ale mgła przygnębienia osiadała na sercach: w ciągu kilku miesięcy za dużo nieszczęść zwaliło się na polskie barki.

Nie ukrywając powagi sytuacji —byliśmy jednak dalecy od zwątpienia w zwycięstwo ostateczne tych prawd, dla których warto umierać, albowiem warto dla nich żyć. Rzeczywistość była groźna. Ale nie beznadziejna.

STYCZNIOWY PRZEDŚWIT

Mglisty i zimny styczeń angielski jest bez porównania jaśniejszy od letnich, upalnych dni lipca 1940. Z głębi duszy wołaliśmy o cud—i cud ten nastąpił. Był nim ogromny, wspaniały poryw społeczeństwa brytyjskiego po klęsce we Francji. Ten kolosalny wysiłek, jaki wówczas podjęto, organizując w przeciągu niesłychanie krótkiego czasu *Home Guard* i ubezpieczając wybrzeża— *da się porównać tylko z cudem nad Marną.* Była to pierwsza, zwycięska bitwa w walce o duszę narodu.

Drugie zwycięstwo nastąpiło w przestworzach. Na Anglię poszła największa w dziejach świata ofensywa lotnicza. Tysiące samolotów niemieckich miało za zadanie powtórzyć tragedię Polski i Holandii: zniszczyć wszystkie lotniska, wszystkie najważniejsze węzły komunikacyjne, zapalić miasta, rzucić postrach na ludność, aby potym mogły uderzyć olbrzymie armie, zmasowane na o trzydzieści tylko kilometrów odległym brzegu francuskim. Atak niemiecki trwał od sierpnia do połowy września 1940. Zakończył się całkowitą klęską Hitlera. *Był to punkt zwrotny historii, jak obrona Verdun w 1916 roku, jak Trafalgar w okresie wojen napoleońskich.*

W lecie 1940 Włosi zajmowali wybrzeża brytyjskiej Somalii, grożąc wielkim szlakom indyjskim, a nasi publicyści śledzili z nieukrywaną obawą postępy Grazianiego w Egipcie. Dzisiaj każdy tydzień przynosi wiadomości o klęskach faszyzmu zarówno w Albanii, jak i w Libii. Jeżeli nawet chwilowo zostanie wstrzymana ofensywa brytyjska czy grecka —będzie to zasługą nie Włochów, lecz Niemców, przeciw którym jednak prędzej czy później zwróci się ich dotychczasowy sojusznik: przestrzeń, a już walczy przeciwko nim czas.

Stany Zjednoczone przystępują do wojny, gdyż inaczej nie można tłumaczyć sobie faktu, że cały przemysł wojenny Ameryki, wszystkie nieograniczone zasoby gospodarcze tego olbrzymiego państwa mają pracować dla Anglii i jej sprzymierzeńców.

A nerwy brytyjskie nie tylko że nie stępiały, ale przeciwnie, pod ciosami stali niemieckiej—zahartowały się na stal. Wystarczy jeden dzień pobytu w Londynie, ustawicznie bombardowanym, aby się o tym przekonać.

I nadzieja zwycięstwa jest już nie tylko wiarą: możemy oprzeć ją na co raz to poważniejszych przesłankach logicznych, jakich dostarcza nam każdy dzień walki.

Jesteśmy przekonani o zwycięstwie. Ale jesteśmy również przekonani, więcej, jesteśmy pewni, że nie przyjdzie ono łatwo, że walka będzie i długa i bardzo, bardzo ciężka. Nie uniknie jej ani społeczeństwo brytyjskie, ani nasze. Na froncie rozstrzygających bitew znajdzie się każdy z nas, bez wyjątku. I tu dochodzimy do linii.

POMYŁKI PERSPEKTYWY

W nasze piśmiennictwo, jak również w życie nasze żołnierskie wkradło się wiele wyrażeń i wiele pojęć, najzupełniej niewłaściwych i sprzecznych z rzeczywistością. Mówi się o jakiejś "nowej emigracji." Przeprowadza się porównania z Wielką Emigracją po 1831 roku. Wyraża się żal, iż dawna emigracja miała swoje wielkie oblicze ideologiczne i polityczne, a nam brak Mickiewicza, Słowackiego czy Czartoryskiego. Narzeka się na ograniczenia cenzury, na "kleszcze myśli." Mimo jednak tych "kleszczy" każdy niemal tydzień przynosi nam co raz to śmielsze, co raz to bardziej oderwane od naszej rzeczywistości broszury i pomysły. Od jednego zamachu rozszerza się granice Rzeczypospolitej z jednej strony po Kaukaz, z drugiej po Berlin, jeżeli nie Łabę. Pojawiają się najrozmaitsze, równie dowolne, jak i śmiałe krytyki rządu, sztabu, dowództwa. Do późna w noc toczą się najrozmaitsze dyskusje partyjne czy "bezpartyjne," podczas których każdy czuje się w obowiązku podawania recepty na całkowite uszczęśliwienie Polski i świata. Co więcej: w jednym z pism polskich wysunięto żądanie, aby zwiększono jeszcze "dział kulturalny" w wojsku. "Należy —pisał autor—raczej ograniczyć ćwiczenia, ale rozszerzyć zakres studiów nad historią i cywilizacją Anglii."

Otóż: wszystko to jest bardzo piękne, wszystko świadczy o naszej, niczym niezłamanej żywotności duchowej, *ale wszystko, lub prawie wszystko, jest niewłaściwym ujęciem najpoważniejszych zagadnień chwili.* Cała dyskusja na temat "problemów emigracyjnych" jest całkowicie bezprzedmiotowa, *albowiem nie jesteśmy żadną emigracją.* Nie ma— na całe ogromne nasze szczęście —najmniejszych podobieństw z emigracją po klęsce w 1831.

TYM RAZEM HISTORIA NIE POWTARZA SIĘ

Nie wyszliśmy z Polski, aby walkę przerwać—przeciwnie, naszym zamiarem było prowadzenie tej walki na innym odcinku, w sposób jeszcze bardziej zdecydowany, jeszcze intensywniejszy, aniżeli w kraju. Legalny rząd polski ani na chwilę nie przestał istnieć. Prawa, stanowiące ramy obowiązków obywatela Rzeczypospolitej ani na chwilę nie przestały działać. Państwo Polskie istnieje w dalszym ciągu, tak, jak istniało państwo belgijskie i serbskie w czasie wojny światowej, jak istnieje dzisiaj państwo holenderskie, norweskie, francuskie i.t.d. Fakt, że zarówno Prezydent Rzeczypospolitej jak i Rząd musi chwilowo przebywać na ziemi angielskiej—podkreśla tylko naszą nieugiętą wolę doprowadzenia tej walki do ostatecznego rezultatu, jakim musi być zwycięstwo.

Tak samo najmniejszej już roli nie gra obcość terenu, na którym ma walczyć Wojsko Polskie. W czasie wojny światowej, cała pięciomilionowa armia angielska walczyła na terytorium obcym. Tak samo cała armia amerykańska. Tak samo duża część wojsk francuskich pod dowództwem gen. Serraillа w Macedonii i Serbii. Walczymy na tych frontach, których trzeba bronić—i dlatego byliśmy we Francji i w Norwegii, a dzisiaj jesteśmy w Libii i na wybrzeżach brytyjskich. Jeżeli zajdzie potrzeba będziemy jutro w Grecji, Serbii, Turcji—i Bóg jeden wie gdzie jeszcze.

Jeżeli nie mamy nowego Mickiewicza czy Krasińskiego—to fakt ten stanowi jeszcze jeden dowód więcej naszej woli narodowej: Mickiewicz lub Krasiński, *made in* 1941, nie ma czasu na pisanie wierszy—i chwała Bogu, że nie ma czasu. Lata nad Niemcami i rzuca bomby na Trzecią Rzeszę. Kandydaci na Czartoryskich—znam ich—patrolują w skalistych wybrzeżach W. Brytanii i marzną im ręce na punktach obserwacyjnych. A Słowacki wraz z Bohdanem Zaleskim—polują na niemieckie łodzie podwodne. W kręgach błyskawicowych widza zjawę Polski na "Błyskawicy," gdzie obsługują przeciwlotniczy karabin maszynowy na rufie i szorują pokład.

Wszystko to są pewniki, wcale nie smutne, przeciwnie, radosne i napełniające nas głęboką otuchą na przyszłość. Albowiem póki walczymy—a walczymy bez wyjątku wszyscy—nie ma i nie może być mowy o żadnej "emigracji" a natomiast jest prawowity rząd, rządzący w dalszym ciągu krajem i mający posłuch w kraju i jest wojsko polskie, wykonujące w dalszym ciągu swój obowiązek. Jesteśmy na odcinku frontowym. Jeżeli ten odcinek—poza Londynem—jest chwilowo spokojny *to ani na moment nie wolno nam zapominać, że jest to spokój przed burzą piorunową, której trzeba będzie stawić czoło i z której musimy wyjść zwycięsko.*

WALKA JEST PRZED NAMI, NIE ZA NAMI

Tak wygląda twierdzenie, które jest proste i jasne, i którego nikt zaczepić nie może. A teraz wnioski. A więc, jakkolwiek zdajemy sobie sprawę, że armia nasza jest najbardziej intelektualną armią, jaką kiedykolwiek Polska miała i głód kultury jest tu takim samym naturalnym objawem, jak głód chleba—*to jednak chwilowa bezczynność niektórych naszych oddziałów nie ma nic wspólnego z pobytem na dokształceniowych kursach wakacyjnych.* Miłe są choinki szkockie, serdeczne przyjęcia ale nad wszystkim musi górować myśl, że lada chwila trzeba będzie skupić wszystkie siły, tak duchowe, jak i fizyczne, aby bronić przed najazdem zarówno własnych sztandarów, jak i tak serdecznej i gościnnej ziemi brytyjskiej. Strasznie przyjemny jest *public bar* z Mary lub Katy, ale patrząc na każdy dom angielski czy szkocki, musimy przede wszystkim zastanawiać się, jaką ma on wartość obronną w razie ewentualnego ataku. A nawet nie "ewentualnego." W razie całkiem pewnego ataku na Wyspy, ataku, który Hitler *musi* podjąć—i który wcześniej czy później podejmie—i który *musimy* odeprzeć.

I dlatego wszystko, co nie służy najbardziej realnym celom tej wojny jest, w tej chwili, mniej lub więcej bezprzedmiotowe, a nawet szkodliwe. Walczymy nie o jedną lub drugą prowincję, nie o taki czy inny ustrój państwowy, nie o sukces jednych lub drugich koncepcyj politycznych, ale o zachowanie narodu polskiego, o naszą egzystencję, o elementarne prawo do bytu!

Nadeszła chwila, kiedy rozstrzygającym czynnikiem staje się czynnik walki i siły do walki. Najwspanialsze pomysły, najbardziej ambitne programy, najpiękniejsze mowy—są tylko czczym dźwiękiem, jeżeli nie stoi za nimi ogromny, realny, i w każdym tego słowa znaczeniu celowy wysiłek. Dobra znajomość CKM'u ma dzisiaj o wiele większe znaczenie, aniżeli zdolność podejmowania dyskusji nad najbardziej nawet zawiłymi zagadnieniami polityki mniejszościowej, żydowskiej, ukraińskiej i każdej innej. Miło jest popisywać się przy ciepłym kominku znajomością dziejów Szkocji, ale tysiąc razy lepiej jest wiedzieć, jak bronić siebie i kolegów przed atakiem bombowców lub tanków niemieckich. Chcemy uchylić wszelką demagogię. To, co się tu mówi nie jest wymierzone przeciw kulturze, przeciw pracy oświatowej, ale żąda stawiania wszystkiego na właściwym miejscu.

Słowem: wysiłek wojskowy, wiedza wojskowa, gotowość do walki i umiejętność walki—są w tej chwili zagadnieniami tysiąc razy ważniejszymi, aniżeli wszelkie sprawy propagandy zewnętrznej, które potrafimy zawsze postawić na odpowiedniej wyżynie, jeżeli będziemy mogli powołać się na wysoką cyfrę straconych samolotów nieprzyjacielskich, zatopionych statków i zestrzelonych tanków czy też motorowych łodzi inwazyjnych.

BĄDŹMY GOTOWI

Koledzy nasi walczą już na morzu i w powietrzu: pamiętajmy, że stoimy już nie w przededniu, ale przed godziną walki— najbardziej ciężkiej i decydującej walki, jaką znają dzieje świata.

Tadeusz Kiełpiński

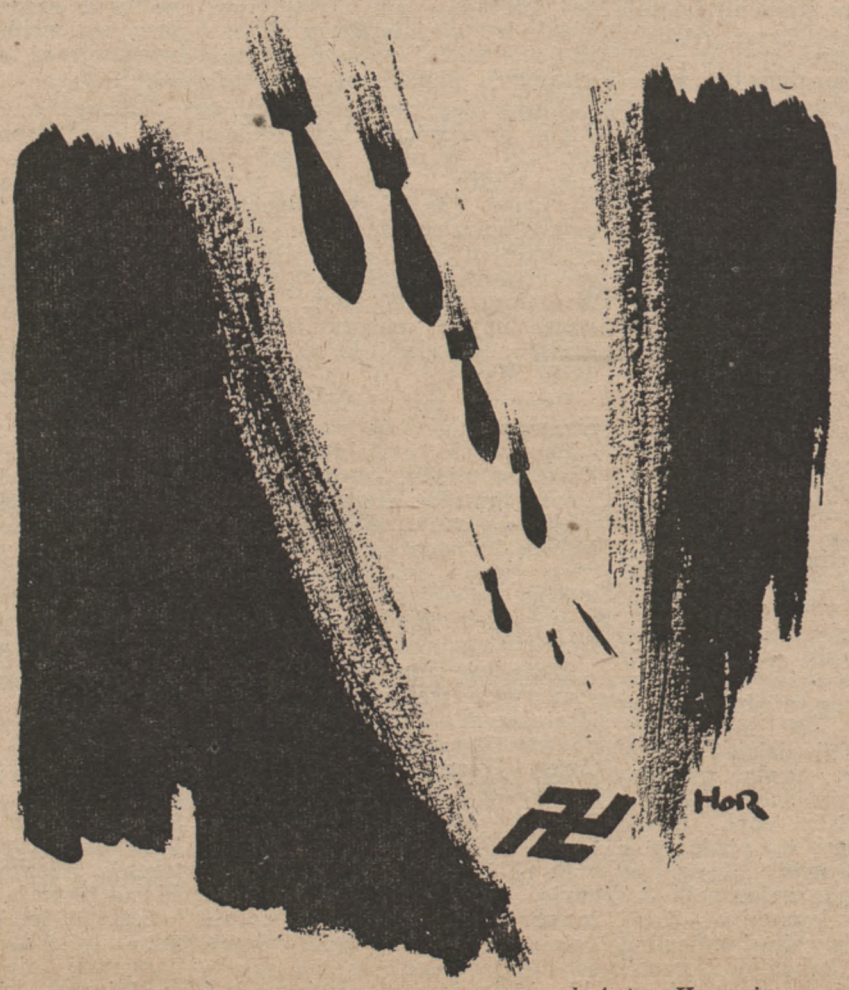

rysował Artur Horowicz

POLSKA 1940

1.—Jak się po niej podróżuje

Zaczynamy drukować cykl artykułów o okupacji niemieckiej. Wyszły one spod pióra jednego z wybitniejszych publicystów i dziennikarzy polskich

Żeby poznać dokładnie położenie ludności polskiej pod okupacją niemiecką, trzeba dużo jeździć, a to jest rzeczą trochę niebezpieczną. Kto ma legitymację z niemieckim podpisem lub pieczęcią, kto może udowodnić, że pracuje w urzędzie, instytucji samorządowej, lub przedsiębiorstwie gospodarczym, ważnym i pożytecznym z niemieckiego punktu widzenia, temu zasadniczo w pociągu nic nie grozi.

Ale inaczej czuć się musiało w pociągu indywiduum zaopatrzone w fałszywe papiery (mówię o sobie) i podające jako swój zawód—"nauczyciel prywatny." Niemcy stali na stanowisku, że nawet nauczyciele państwowi są Polakom właściwie zbędni i jak wiadomo sporo profesorów poszło do obozów kokoncentracyjnych i więzień. To też przy dokładnym badaniu mych papierów mogli dojść do wniosku, że będę pożyteczniejszy przy budowie fortyfikacyj w Lubelskim lub kopaniu buraków w Mecklenburgu. Zresztą w maju 1940 r. pan Frank zakazał także nauczania prywatnego bez zezwolenia odpowiedniego Kreisschulinspektora.

Żeby mi pomóc, jeden z moich znajomych przysłał mi pismo, czyniące mnie reprezentantem jakiejś fabryki bibułek czy tutek. Rzecz była o tyle zabawna, że nigdy w życiu nie paliłem, więc o wadach i zaletach bibułek nie miałem, "zielonego" pojęcia, i oczywiście w ciągu wszystkich "handlowych" podróży nie sprzedałem ani deka (może się to sprzedaje na setki?) bibułek. Przytem firma, którą "reprezentowałem," nie widziała mnie nigdy w życiu, a upoważnienie było zredagowane w języku polskim i nie było potwierdzone przez jakąś Izbę Przemysłową, Handlową czy coś podobnego. Jednym słowem jako zabezpieczenie przed zabraniem na roboty moje papierki nie miały prawie żadnej wartości. Ale ponieważ trzeba było jeździć, więc jeździłem w sprawach prywatnych i nieprywatnych więcej niż dwadzieścia razy.

Miałem jakoś szczęście, że nigdy na terenie Generalnego Gubernatorstwa nie byłem pytany o dowód osobisty. Widywałem czasem rewizje żywnościowe. Przez wagon przechodziło dwóch (lub jeden) Niemców i gdy u kogoś widzieli kosz zanadto pękaty, kazali otwierać i szukali słoniny lub żywności. Ale mniejsze ilości żywności, jedna lub dwie teczki, zawsze udało mi się przewieść szczęśliwie.

Konduktora niemieckiego interesowały tylko bilety kolejowe. Byli także konduktorzy polscy, ale stopniowo z biegiem miesięcy, co raz częściej spotykało się konduktorów niemieckich. Widocznie Niemcy doszli do wniosku, że mimo dużej liczby pasażerów wpływy finansowe jakoś nie były nadzwyczajne.

Wszystkie kierownicze stanowiska w kolejnictwie zajmują oczywiście Niemcy. Na ogólną liczbę 42 tysięcy kolejarzy, w Gen. Gubernatorstwie (obliczenia niemieckie z wiosny 1940 roku) było coś 10 tysięcy Niemców (*Reichsdeutsche* i *Volksdeutsche*), reszta Polacy względnie—bardzo rzadko—Rusini.

Pociągi były zazwyczaj dobrze zaludnione. Najpierw ludzie jeździli głównie dlatego, by odszukać swoje rodziny i wyszukać nowe możliwości życiowe, później jeździli głównie w sprawach handlowych i aprowizacyjnych. Taryfę osobową podwyższono o 100% w lutym, potem trochę obniżono w lipcu, tak iż w rezultacie bilety kosztowały więcej, niż przed wojną ale jednak nie podrożały w tym stosunku, jak niektóre artykuły żywnościowe (n.p. masło, słonina). Stąd mimo zakazu jeżdżenia koleją dla Żydów pociągi były—poza okolicami bardzo ubogimi—dość zapełnione.

W myśl założenia, że cała polska gospodarka była "zła," Niemcy znieśli degresję w taryfie kolejowej. Każdy kilometr kosztuje 7 groszy, bez względu na to, czy to jest kilometr 10-y czy 100-y. A więc 100 klm. kosztuje 7 zł., 200 klm.—14 zł. i tak dalej. Jeżdżąc z Warszawy do Krakowa przez Radom płaciłem coś 23 zł. Przed wojną płaciło się 15 zł.

Pociągi pośpieszne są oczywiście droższe. Formalnego zakazu jeżdżenia drugą klasą nie ma, ale Polacy w niej nie jeżdżą, bo na wszystkich lepszych wagonach jest z reguły napis "*nur fuer Deutsche.*" Spóźnienia pociągów, dość częste w czasie ostrej zimy, w lecie 1940 roku bardzo się zmniejszyły. Szybkość pociągów zarówno osobowych, jak pośpiesznych, jest znacznie mniejsza, niż przed wojną.

Z Warszawy do Krakowa chodzą pociągi nie tylko przez Kielce,lecz także przez Koluszki i Częstochowę. W Koluszkach trzeba uważać, by się nie zabłąkać na teren "Trzeciej Rzeszy," bo zaraz na zachód od Koluszek zaczynają się tereny włączone do Niemiec. Tak daleko posunął się apetyt Hitlerowców!

Częstochowa jest w Gen. Gubernatorstwie, ale całe zagłębie Myszkowa aż po Trzebinię włącznie, zostało wcielone do Śląska, więc pociąg pośpieszny całą przestrzeń Częstochowa—Kraków (130 klm.) przebywa bez zatrzymania się. Nie ma rewizji i nie potrzeba przepustek, bo nikt nie może wsiąść ani wysiąść.

W pociągach pośpiesznych dziennych między Warszawą a Krakowem są wagony restauracyjne niemieckiej Mitropy. Ponieważ klient dający zarobić jest zawsze mile widziany, więc i Polak może tam usiąść i za umiarkowaną cenę zjeść śniadanie, bez żadnych kartek żywnościowych.

Autobusami jeździłem rzadko, mianowicie tylko w czerwcu z Nowego Sącza do Krynicy (coś 40 klm). Wóz był niemiecki, konduktor Ukraniec, bo na tym terenie już zaczynała się akcja ukrainizacyjna. Autobus kursował na tym dość sporym odcinku kilka razy dziennie, co wskazywało (podobnie jak uruchomienie innych linij na Podkarpaciu), że wtedy jeszcze Niemcy, może dzięki łupom we Francji, może dzięki dostawom z Rosji, braku benzyny nie odczuwali.

Stanisław Zatorski

Bolesna sprawa

Niedawno temu, w tygodniku "Wiadomości Polskie" zaczęły się ukazywać felietony zatytułowane "Żołnierze, których znam." Od dłuższego czasu pismo to zajmowało się gorliwie wojskiem i jego sprawami. Każdy ma do tego prawo, póki służy wojsku, póki razem z wojskiem służy jego sprawie—jednej, wspólnej, bezspornej sprawie walki o wyjarzmienie cierpiącego narodu, o odbudowanie niepodległej, silnej, trwałej państwowości.

Trzeba jasno i po żołniersku stwierdzić, że "Wiadomości Polskie" przekroczyły granice tego prawa. We wspomnianych artykułach posunęły się do ujemnych uogólnień na temat wartości armii, która walczyła, która walczy, która będzie walczyć jutro, jak długo trzeba i do końca. Jest to fakt niedopuszczalny w wojnie, w jej może rozstrzygającym momencie, niedopuszczalny wśród obcych. Jest także niedopuszczalne w jakimkolwiek kraju w odniesieniu do jakiejkolwiek armii przeciwstawiać sobie—dowodzonych i dowodzących, rozbijać wojsko od wewnątrz. Kraj, najbardziej bezkompromisowo demokratyczny, który by do tego dopuścił przestał by mieć armię. Armia, w której by to zaszło, przestała by być armią. Czyż trzeba dla przykładu przypominać niedawne ostre potępienie oficera armii brytyjskiej za stanowisko, które by mogło skłócić oficerów między sobą?

Do żadnego z nas, żołnierzy armii walczącej nie należy sądzenie i wymierzanie kary za błędy i przewinienia przeszłe. Winowajców września potępił zgodnym głosem powalony i skrwawiony naród i on im wymierzy sprawiedliwość. Ale ten sam naród—mimo upływu krwi, mimo najtragiczniejszego w historii zawodu—otoczył czcią swoich najlepszych synów: oficerów, podoficerów i szeregowych, obrońców Westerplatte, Warszawy, Lwowa, Modlina, Helu, Gdyni i Oksywia, żołnierzy spod Kutna, Kocka i Gródka, bohaterów walki powietrznej i morskiej, na nas zaś jako na dziedziców ich męstwa przeniósł swoje uwielbienie, ale i narzucił nam nakaz walki, którą sam nieugięcie prowadzi.

Tylko prawowity Rząd, tylko Wódz Naczelny mają prawo karać tych, którzy sprzeciwiają się woli narodu, którzy ją zawiedli lub zawiodą. Natomiast na każdym z nas leży obowiązek współdziałania z najwyższymi władzami w wymiarze sprawiedliwości w tej chwili i później, po skończonej walce. Ten obowiązek ciążył także na autorze felietonów w "Wiadomościach Polskich," jeśli znał wykroczenia przeciw godności armii. Nie spełnił tego obowiązku. Mimo, że nosi jej mundur—zamiast wskazywać jednostki, wolał uderzać w całość.

Armia—broń narodu i dziś jedyna jego nadzieja i najgorętsza miłość—stoi jednością, zwartością, wspólnotą. To jest jej siła i to jest jedyna możliwość spełnienia tej nadziei, wypłacenia tej miłości. Każdy kto by świadomie, lub bezwiednie działał przeciwko tej sile, działał by na korzyść wroga, nie był by żołnierzem armii swego narodu.

Tymon Terlecki

Wcześniej w tej sprawie zabrał głos "Dziennik Żołnierza." W nr. 174 z 22 stycznia b.r. ogłosił list podchorążego (wymienionego z imienia i nazwiska), w którym czytamy:

"Chociaż nie dwa, ale cztery lata uczono mnie "składać mundur w kostkę, salutować, meldować się, stać na warcie i maszerować z przytupem"—to jednak uczono mnie w wojsku także, by cenić ambicję żołnierską i aby nikt nie mógł o mnie powiedzieć, że "zły to ptak, co kala własne gniazdo."

Obrazić oficerów czy ośmieszyć podoficerów potrafi każdy, trzeba się zastanowić jaki to da skutek i poco się to robi. Jaki to da skutek i czy nie stanie się to przeciw czemu występuje w tym samym numerze "Wiadomości" Zygmunt Nowakowski, to jest czy nie wprowadzi się przez to "błota do wojska." A poco? Przecież uradować to może tylko—"piątą kolumnę."

List ten redakcja "Dziennika" zaopatrzyła następującym komentarzem:

"Nie wolno pod żadnym warunkiem szafować gołosłownie zarzutami, a jeszcze mniej wolno uogólniać te zarzuty. Jeśli ktoś z nas dowie się na przykład, że adwokat X. okradł klienta, to trzeba by o tem mówił i publicznie to napiętnował. Gdyby jednak powiedział czy napisał ogólnikowo, że "adwokaci okradają klientów," to byłoby to i nieprawdziwe i szkodliwe.

Tak samo i w tym wypadku. Jeśli autor czy jego rozmówca—Poleszuk—znał wypadki niegodnego zachowania się poszczególnych wojskowych w czasie kampanii wojennej, to powinien o tem donieść prokuratorowi i ułatwić wymiar sprawiedliwości. Natomiast stanowczo niedopuszczalne są żonglowania, krzywdzącymi zarzutami pod adresem ogółu. Trzeba o tem pamiętać, ze względu na objektywną prawdę i honor Armii."

Za chińskim murem

W kilka godzin można dziś przelecieć aeroplanem z Londynu do Bukaresztu. Depesza iskrowa idzie kilka minut i tych samych kilku minut potrzeba, by przesłać fotografię iskrową. A jednak od tygodni leje się krew w Rumunii, zginęły już setki, a może tysiące ludzi, toczy się jakaś szalona walka, a my właściwie nic nie wiemy, co się tam właściwie dzieje. Nie wiemy nic, choć Rumunia formalnie jest krajem neutralnym, gdzie do dziś urzęduje poselstwo angielskie, urzęduje poselstwo polskie. Nie wiemy nic, chociaż pełno jest w Bukareszcie dziennikarzy amerykańskich, którzy zapewne robią, co mogą, by przesłać wiadomości. Mniej wiemy o tym, co się dzieje w Rumunii dzisiaj, w epoce telegrafu bez drutu i aeroplanów, aniżelibyśmy wiedzieli w epoce już nie kolei żelaznych, ale dyliżansów.

Nie tylko w komunikowaniu wiadomości nastąpił postęp. Postęp nastąpił i w niedopuszczaniu ich. Chiński mur, którym "synowie słońca" chcieli odgrodzić swe państwo od świata jest dziecinną zabawką w porównaniu z tym chińskim murem, który potrafi wybudować policja, wychowana na wzorach Gestapo i poddana jej cenzura.

Jenerał Antonescu ogłosił w piątek, że zreorganizuje Żelazną Gwardię i że sam stanie na jej czele. Z tego komunikatu oficjalnego wynika, że ta wojna domowa, która się toczyła a może jeszcze toczy w Rumunii istotnie była powstaniem Żelaznej Gwardii przeciw rządowi. Że powstanie to musiało być zakrojone na szeroką skalę na to nie brak dowodów. Wystarcza taki fakt. Kilka dni temu przemówienie radiowe jenerała Antonescu zostało nagle przerwane i odezwał się jakiś inny głos, co znaczy że w tym momencie radio bukareszteńskie zostało opanowane przez powstańców. Radio w Brasowie przez kilka dni było w ręku powstańców i mówiło o przyłączeniu się znacznej cześci armii do ruchu.

Wiemy więc tyle, że chociaż następca Codreanu Horia Sima był w rządzie Antonescu, Żelazna Gwardia zbuntowała się i że trzeba było dłuższego czasu, by bunt ten zlikwidować (o ile istotnie jest zlikwidowany).

Ale o co szło? Komunikaty oficjalne mówią, że w Żelaznej Gwardii znalazły się elementy komunistyczne i że to te elementy są odpowiedzialne za rozruchy. To, iż w Żelaznej Gwardii mogli się dzisiaj znaleźć komuniści jest bardzo prawdopodobne, ale trudno uwierzyć, żeby komunistą był ojciec Codreanu, który był jednym z przywódców ruchu, a już po prostu na farsę zakrawało by oskarżanie o komunizm Horii Simy, który jako człowiek Berlina i przywódca Żelaznej Gwardii był po Antonescu drugą osobą w Rumunii. A przecież okazało się, że istotnym przywódcą powstania był właśnie Horia Sima. I to jego dzisiaj policja generała Antonescu najusilniej poszukuje.

Pewne depesze podsuwały, że ruch powstańczy był ruchem protestu przeciw zupełnemu opanowaniu Rumunii przez Niemców, że był odruchem patriotyzmu rumuńskiego. Może. Istotnie część Żelaznej Gwardii protestowała przeciw oddaniu Siedmiogrodu Węgrom, próbowała nawet porozumiemia z partią chłopską, której przewodzi Maniu.

Przeciw tej teorii jednak przemawia to, że radio powstańcze było czołobitne wobec Niemców, przemawia to, że powstanie przeciw Niemcom, którzy mają w Rumunii kilkaset tysięcy wojska niemieckie z zupełną czym, no i fakt, że podobno wojska niemieckie z zupełną obojętnością śledziły walki w Rumunii.

Może więc po prostu była to rozgrywka wewnętrzna między istniejącym dyktatorem, a nowymi kandydatami na dyktatorów, rozgrywka o podział łupów. Nie wiemy, nie możemy wiedzieć. Rumunia dzisiaj jest za chińskim murem.

Za chińskim murem jest i Bułgaria. Ale to znów chiński mur innego rodzaju. O tym, co się dzieje na ulicach Sofii wiemy, bo nic ważnego się nie dzieje. Ale jakie jest stanowisko Bułgarii w wojnie obecnej, jaka jest polityka rządu bułgarskiego o tym nie wiemy i nie będziemy wiedzieli aż do chwili decydującej.

Wiemy, że partie bułgarskie nie chcą dopuścić do tego, by Bułgaria stała się *place d'armes* niemieckim, bo wydały odezwę w tym duchu. Wiemy, a raczej przypuszczamy, że Bułgaria odrzuciła sowiecki projekt paktu wzajemnej pomocy, który byłby zamknął drogę Hitlerowi. Domyślamy się, że odrzuciła dlatego, iż pakt ten byłby powtórzeniem paktu bałtyckiego, o którym wiemy, jak się zakończył.

Ale nie jest wiadome, czy skutkiem tego Stalin dał wolną rękę Hitlerowi w Bułgarii, nie wiemy, czy król Borys zdecydował się na pójście w ślady Karola rumuńskiego, czy też raczej Jerzego greckiego. A nie tylko my tego nie wiemy, ale nie wie i naród bułgarski.

I nie wie naród francuski, co w jego imieniu dzisiaj robi rząd w Vichy. Dużo jest pism francuskich i dużo piszą. Są pisma wydawane w Paryżu, będące na służbie i Lavala, i jego protektora—rządu niemieckiego. Są pisma w Vichy, Lyonie, Limoges, czy Grenoble na terenie Francji nieokupowanej. Pisma te mają wstępne artykuły, depesze, polemizują ze sobą. A mimo to o tym co się dzieje naprawdę nie wie nikt. Niespodzianką niezrozumiałą było nagłe usunięcie Lavala, niespodzianką jego powrót do łask.

Można oczywiście starać się odczytać to, co się dzieje we Francji, tak jak się rozwiązuje krzyżówki. Np. wydaje się prawie pewne, że nagły upadek Lavala nastąpił dlatego, że Pétain nie zaakceptował jego planu wejścia do wojny po stronie Niemiec, i że pogodzenie się z Lavalem nastąpiło na skutek nacisku czy nawet rozkazu niemieckiego.

Ale nawet domyślać się dziś jeszcze nie można, na jakich warunkach nastąpiło pogodzenie. Prasa paryska twierdzi, że Laval zwyciężył stuprocentowo i już żąda sądu na tych ministrów, co go przed Pétainem "oszkalowali." Czyli że Paryż zapowiada zaostrzenie kursu antyangielskiego. A jednocześnie z Ottawy przychodzi wiadomość, że poseł francuski wydał obiad, na którym jenerał gubernator Kanady wzniósł zdrowie marszałka Pétaina, a poseł francuski zdrowie króla Jerzego.

Rząd francuski jest także odgrodzony od narodu chińskim murem. W tym samym zaś czasie w Stanach Zjednoczonych komisja Kongresu publicznie bada ministrów, ambasadorów i ekspertów w sprawie udzielenia pomocy dla Anglii. W tym samym czasie parlament angielski otwarcie obraduje nad wojną.

W krajach demokratycznych nie ma chińskich murów.

XXX

Prawa Polski do Prus Wschodnich

W nawiązaniu do artykułu "Nakazy polityki Bolesława Chrobrego dla nowej Polski,"* w którym uzasadniałem, iż Polska, po obecnej wojnie z Niemcami, musi otrzymać m.in. Prusy Wschodnie, by mogła odgrywać rolę ostoi i strażniczki pokoju na międzymorzu bałtycko-czarnomorskim— należy rozważyć w krótkim wywodzie historycznym, na jakich prawach rości sobie Polska pretensje do tego obszaru. Niezałatwienie sprawy pruskiej w ciągu dziejów Polski przedrozbiorowej i po wojnie światowej, w Traktacie Wersalskim, spowodowało, iż w kampanii wrześniowej 1939 r. zostaliśmy zaatakowani również od północy. Błąd nasz dziejowy mści się do dnia dzisiejszego.

ZIEMIA SZCZEPU PRUSÓW

Prusy Wschodnie, kraj leżący między dolną Wisłą i dolnym Niemnem, pełen jezior, bagien, moczarów i lasów, zamieszkany był w zaraniu naszych dziejów przez szczep pogańskich Prusów. Bolesław Chrobry, chcąc oprzeć Polskę szerokim pasem o brzegi Bałtyku, postanowił nawrócić ten lud na wiarę Chrystusową, by następnie objąć nad nim swe zwierzchnictwo. Dla prowadzenia tej apostolskiej pracy udał się tam w r. 997 Św. Wojciech, który głosząc ewangelię w ziemi Prusów, męczeństwem zakończył w niej swój apostolski żywot.

Prusowie dawali się we znaki swymi napadami na ziemie polskie, a zwłaszcza na Mazowsze. Nie wiele skutkowały "stróże" utrzymywane przez książąt polskich na pograniczu. Polska, w rozbiciu dzielnicowym, a więc słaba nie mogła uporać się z tym napastniczym ludem. Na niczym spełzały jej próby nawrócenia Prusów na wiarę chrześcijańską. Sporadycznie przedsiębrane małe wyprawy na Prusy nie dały rezultatu; w jednej z takich krucjat poległ w walce z Prusakami ks. Henryk Sandomierski w r. 1166.

MISJA CHRYSTIANIZACYJNA POLSKI

Nawrócenie Prusów na chrześcijaństwo było tak ważnym zadaniem, iż Polska została zwolniona przez Stolicę Apostolską od udziału w krucjatach do Ziemi Św., gdyż pod bokiem miała pogan do nawracania. Z początkiem XIII w. Mazowsze cierpiało wiele od napadów pogańskich Prusów, to też poskromienie ich stało się naglącym zadaniem. Ciągle szczep ten zajmował wobec Polski obronne stanowisko. Zasłaniały go jeziora i bagna, ciągnące się długim pasem na północy Mazowsza. Napróżno kusił się Bolesław Kędzierzawy o shołdowanie pogańskich sąsiadów, nie starczyły na to krucjaty, które przedsiębrano po kilka razy. Podbój Prus wymagał wielkich wysiłków, a w XIII w. Polska, rozbita na dzielnice, osłabiona wewnętrznymi zaburzeniami, nie podołała temu zadaniu.

Tymczasem Prusowie co raz śmielej zaczęli szarpać ziemię mazowiecką. Za czasów Konrada, księcia mazowieckiego, misje Cystersów (z Łekna i Oliwy) dokonały wielu nawróceń w nadgranicznym pasie Prus. Za wzorem Cystersów łeknieńskich, Cysters klasztoru oliwskiego, Krystian, jął się gorliwie apostolskiego dzieła w Prusiech, tak, iż papież mianował go nawet pierwszym biskupem pruskim. Ale właśnie to powodzenie misjonarskiej pracy stało się hasłem reakcji pogańskiej. Z głębi ziemi pruskiej ruszyły się pogańskie żywioły z tym większą zaciekłością, spadając na swych pogranicznych pobratymców, wśród których począł wschodzić posiew chrześcijaństwa. Na całym wybrzeżu bałtyckim, między ujściem Wisły i Niemna, wszystkich Prusów ogarnął zapał wojowniczy, nienawiść ku chrześcijaństwu zapaliła żądzę krwi i zdobyczy.

Granice Mazowsza stały otworem i plaga pruskich najazdów zaciążyła srogo nad tą ziemią. Nie mając zamków obronnych na pograniczu Prus, na nic nie zdały się wszelkie wysiłki i krucjaty, które na wezwanie papieża wyruszały przeciwko Prusom. Przed wojskiem cofali się oni w głąb swych ziem, za niedostępne bagna i jeziora, a po ustąpieniu krucjaty z tym większą zawziętością spadali na Mazowsze.

FATALNA DECYZJA

Konrad mazowiecki nie dorósł do zadania, jakie wówczas go czekało; był bezradny i słaby. Szukał ratunku u niemieckiego Zakonu Krzyżaków, którego zadaniem była walka z pogaństwem. W r. 1226 przybyli Krzyżacy z Wenecji do Polski i Konrad oddał im ziemię chełmińską i posiadłości na Kujawach (ziemię nieszawską) po lewym brzegu Wisły, zastrzegając sobie zwierzchnictwo nad nimi i nad nowozdobytemi przez Zakon ziemiami. Na udzielonym im obszarze Krzyżacy zbudowali obronne zamki i mając w nich silne oparcie, rozpoczęli podbój Prusów.

Sprowadzenie Krzyżaków, nieporadność i krótkowzroczność Konrada dały początek krzyżackiemu państwu, które z czasem stało się wrogą Polsce potęgą, groźniejszą od Prusów. Konrad nie liczył się z następstwami swego kroku, chociaż miał już dowód zamiarów Krzyżaków w Siedmiogrodzie, do którego sprowadził ich był poprzednio do walki z Kumanami król Węgierski Andrzej II. Był on przezorniejszy, niż Konrad gdyż przejrzawszy ich plany, pozbył się niebezpiecznych gości. Konrad chciał z pomocą Zakonu nawrócić Prusów na wiarę chrześcijańską i zawojowane ziemie przyłączyć potem do swego księstwa. Zakon Krzyżacki jednak nie w tym celu przybywał nad brzegi Wisły, by iść po linii zamierzeń Konrada, lecz tylko po to, aby nad Bałtykiem założyć państwo krzyżackie.

IMPERIALIZM KRZYŻACKI

Krzyżacy zaraz na wstępie sfałszowali dokument Konrada i wyjednali sobie przywilej cesarski, w którym Fryderyk II nadał im w lenno wszystkie ziemie, które zdobędą na poganach. To fałszerstwo tak wczesne rzuca jaskrawe światło na zamiary, z jakimi Krzyżacy rozpoczęli swoje dzieło nad Wisłą.

W ciągu 50 lat, a więc mniej więcej u schyłku XIII w. Krzyżacy, z pomocą zaciężnych rycerzy Zachodu, podbili cały kraj Prusów, nawracając jego mieszkańców na wiarę chrześcijańską nie krzyżem lecz mieczem. Miejsce wytępionych Prusów zajmowali koloniści, sprowadzani z Niemiec.

Z końcem XIII w. spoglądał już Zakon chciwym okiem na polskie Pomorze, które udało mu się na początku XIV w. zagrabić Polsce. W ten sposób od roku 1308 Zakon stanął silną stopą nad ujściem Wisły i zbudował swe państwo po obu brzegach dolnej Wisły. Czuł się tutaj już teraz pewny siebie, czego dowodem było przeniesienie w r. 1309 stolicy Wielkiego Mistrza Zakonu z Wenecji do Malborga.

POLSKA W SPORZE I WALCE Z ZAKONEM

Władysław Łokietek toczył proces i walkę z Krzyżakami o Pomorze. Tak samo prowadził z nimi procesy o zagrabioną podstępnie ziemię ostatni z Piastów. Andegawenowie i Jagiellonowie przed objęciem tronu Polski byli zobowiązywani do odzyskania utraconych przez nią ziem. Dopiero Władysław Jagiełło zdołał złamać potęgę krzyżacką na polach Grunwaldu w r. 1410. Zwycięstwo to atoli nie zostało wyzyskane i Zakon wkrótce odnowił swe siły. Wreszcie Kazimierz Jagiellończyk w 13-to letniej wojnie z Krzyżakami zmusił ich do oddania Polsce, pokojem toruńskim z r. 1466, zagarniętych ziem. W pokoju tym *Wielki Mistrz krzyżacki uznał się lennikiem Polski* i złożył hołd Jagiellończykowi.

Za Jana Olbrachta był plan przeniesienia Zakonu Krzyżackiego z Prus Wschodnich na Podole, który podsunął królowi biskup warmiński, będący w sporze z Krzyżakami. Ten plan pozbycia się Krzyżaków z ziem nadbałtyckich i połączenia Prus Wschodnich z Pomorzem był krokiem wielkiej na przyszłość doniosłości lecz zamiar ten unicestwiła klęska bukowińska w r. 1479.

HOŁD NOSZĄCY ZARODEK KLĘSK

W r. 1519 nadarzyła się najlepsza sposobność załatwienia sprawy pruskiej i zlikwidowania Zakonu krzyżackiego nad Bałtykiem. Umarł bowiem W. Mistrz Zakonu ks. Fryderyk saski, nie złożywszy hołdu królowi polskiemu, a Krzyżacy obrali następcą jego Albrechta, ks. brandenburskiego, siostrzeńca Zygmunta I. Nowy W. Mistrz trzymał się względem Polski polityki swego poprzednika, ufając w poparcie Rzeszy i cesarza. Obecnie jednak, po kongresie wiedeńskim (z r. 1515) zmieniły się stosunki; przyjaźń z Habsburgami rozwiązywała ręce Zygmuntowi I, między szlachtą panowała wielka przeciw Krzyżakom zawziętość, sejmy okazywały wszelką gotowość do wojny z Albrechtem. Uchwalono podatki potrzebne na wojsko i armia polska pod wodzą Mikołaja Firleja stanęła po zwycięskim pochodzie pod murami Królewca, gdy nagle król zezwolił na rozejm.

To niewytłomaczone postąpienie Zygmunta I było wielkim błędem politycznym, który w przyszłości miała Polska ciężko odpokutować. Hołd Albrechta nie mógł pokryć porażki, jaką poniosła polityka Jagiellońska. Być może, iż niebezpieczeństwo tureckie, zagrażające Węgrom, pozostającym pod panowaniem Ludwika, syna Władysława Jagiellończyka, brata króla polskiego, spowodowało, iż sprawa pruska nie została zlikwidowana. Siostrzeniec przedostatniego Jagiellona na tronie polskim, W. Mistrz Zakonu, *Albrecht, ogłaszając się świeckim księciem Prus Wschodnich, jako lennik Polski,* złożył na rynku krakowskim 1525 r. hołd królowi Zygmuntowi I. Przeżarty reformacją Zakon Krzyżacki sekularyzował się (to znaczy utracił charakter religijny), przekształcając się w księstwo świeckie, lenno Polski.

OSKRZYDLENIE POLSKIEGO POMORZA

Ostatni z Jagiellonów, Zygmunt II August, popełnił również największy błąd polityczny w ciągu swego panowania, zezwalając w r. 1563 na sukcesję książęcego tronu Prus Wschodnich w razie wymarcia potomków Albrechta—elektorom brandenburskim. W roku 1618, po wymarciu linii Albrechta, Brandenburczycy objęli tron w Prusiech Wschodnich, łącząc pod swym panowaniem Prusy Wschodnie z Brandenburgią, przedzielone polskim Pomorzem.

Byli oni nadal lennikami Polski, lecz czekali tylko na sposobność uwolnienia się od zależności lennej. Sposobność taka nadarzyła im się za Jana Kazimierza, kiedy to w r. 1657, traktatem welawsko-bydgoskim, zwolnieni zostali od obowiązków lennych względem Polski. Z tą chwilą władcy niezależnego już od Polski, księstwa Prus Wschodnich, połączonego z Brandenburgią, dążyć będą do zajęcia Pomorza, dzielącego ich posiadłości.

Za Jana III. Sobieskiego po zawarciu traktatu w Jaworowie z Ludwikiem XIV. była okazja usunięcia obcego ciała z granic Polski. W tym traktacie zobowiązał się Sobieski m. in. wydać wojnę elektorowi brandenburskiemu. Po zwycięskim jej zakończeniu, Polska miała posiąść Prusy Wschodnie, lecz zamiar ten nie został urzeczywistniony gdyż sejm wystąpił przeciw wojnie z elektorem.

KRÓLESTWO PRUSKIE

W czasie wojny północnej, elektor brandenburski ogłosił się w r. 1701 królem pruskim, jako Fryderyk I. Polska nie mogła tej zmianie przeciwdziałać, gdyż była słaba pod rządami przedstawiciela niemieckiej dynastji Wettinów, Augusta II, a władca jej, Niemiec na tronie polskim—pierwszy wysłał gratulacje koronowanemu Niemcowi do Królewca.

Tak więc, wskutek krótkowzroczności królów polskich, błędy przez nich popełnione w sprawie pruskiej, zemściły się srogo na Polsce, gdyż król pruski Fryderyk II stał się projektodawcą rozbiorów Polski i w r. 1772, przez zagarnięcie Pomorza, celem połączenia Prus Wschodnich z Brandenburgią, odepchnął ją od Bałtyku.

PRAWO HISTORYCZNE—DWA STULECIA ZALEŻNOŚCI LENNEJ

W skrócie wielkim dzieje Prus Wschodnich i stosunek ich do Polski przedstawiają się następująco:

Od czasów przedhistorycznych aż do r. 1226 (wzgl. do końca XIII w.) mieszkali tam Prusowie; od r. 1226 zaczął budować w Prusiech Wschodnich swe państwo Zakon Krzyżacki, który był od Polski niezależny do r. 1466. Od tego roku do r. 1525 Zakon był lennikiem Polski, a Prusy Wschodnie przekształcone w r. 1525 na świeckie księstwo były nadal lennem Polski az do roku 1657 (a następnie do 1701 r. były księstwem od Polski niezależnym, a po r. 1701 królestwem).

Tak więc w ciągu prawie 200 lat (od 1466 do 1657) stosunek Prus Wschodnich do Polski był stosunkiem *zależności lennej od Korony.* Jedynie więc wskutek lekkomyślności władców Polski, perfidii Zakonu Krzyżackiego i wiarołomstwa książąt pruskich— Prusy Wschodnie nie stały się integralną częścią państwa polskiego. Jak przeto z tego w skrócie przedstawionego obrazu wynika, ma Polska prawa historyczne do posiadania Prus Wschodnich, a prawa te płyną nadto z włożonej przez nią pracy misyjnej w tę ziemię.

WZGLĘDY LUDNOŚCIOWE

Prawa Polski do posiadania Prus Wschodnich zasadzają się także na względach etnicznych, gdyż południowa część tej ziemi zaludniona jest przez polskich Mazurów (rejencja olsztyńska), a ludność polska zamieszkuje również zachodnią część tej ziemi (Powiśle, ziemię malborską i Warmię); plebiscyt na tych obszarach Prus, zarządzony Traktatem Wersalskim z r. 1919, odbył się w porze najmniej Polsce sprzyjającej, bo w lecie 1920 r., a więc w czasie parcia bolszewików na naszą stolicę. Wynik jego był dla Polski niekorzystny i na tej podstawie Prusy Wschodnie oprócz małego skrawka, pozostały przy Rzeszy, mimo, iż w pierwszej redakcji Traktatu Wersalskiego tereny plebiscytowe miały być włączone do Polski.

Wiadomo wszystkim kto ponosi winę w tej sprawie. Jak za czasów Polski przedrozbiorowej władcy Prus Wschodnich czyhali na zgubę Polski i uknuli jej rozbiór, tak i właściciele tej ziemi po r. 1920 uczynili z niej twierdzę, zwróconą przeciw Polsce Odrodzonej, z której uderzyli na nią bez wypowiedzenia wojny, we wrześniu 1939 r. Tak więc zemściły się błędy dawnej Polski, jak i błędy, popełnione przez twórców Traktatu Wersalskiego.

NATURALNE CIĄŻENIE KU POLSCE

Prusy Wschodnie są wyspą, oblaną morzem obcej plemiennie ludności, ciążą geograficznie, gospodarczo i komunikacyjnie ku Polsce, jako swemu naturalnemu zapleczu. Z tych więc względów oraz z obronnego punktu widzenia, Polska musi posiąść Prusy Wschodnie.

Ziemia ta jest obcą dla Niemców, którzy nie tylko niechętnie w niej się osiedlają, lecz nawet z niej emigrują w głąb Rzeszy. Jest przeto ta ziemia bardzo słabo zaludniona przez Niemców i w gospodarstwie Niemiec stanowi pozycję deficytową. Niemcy trzymają Prusy Wschodnie kurczowo, gdyż są one forpocztą germańskiego parcia na wschód i stałą groźbą dla Polski.

Z podanych względów Prusy Wschodnie muszą być *w całości* włączone do Polski. Więcej błędów w tej sprawie popełniać już nie wolno, jeśli nie tylko Polska, ale i cała Europa ma w przyszłości zażywać dłuższego pokoju.

Franciszek Lenczowski
Obóz Polski, w październiku 1940 r.

* Por. nr. 32 "Polski Walczącej" z ub. roku.

Składajcie ofiary na

FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ

Adres:

Wydział Darów—of Polish Army, Buckingham Palace Road (Rubens), London, S.W.1.

Wola człowieka w lotnictwie

Wola człowieka. Dwa słowa— ile zawierają w sobie treści.

Wola człowieka w lotnictwie to przede wszystkim wola walki. Wola walki nie tylko w powietrzu, tam gdzieś wysoko nad chmurami, wysoko pod słońcem tam, dokąd często wznoszą się nasze uczucia i myśli, skąd ziemia wydaje się mała i inna, skąd ludzi nie widać, gdzie nie mają dostępu drobne troski dnia codziennego.

Wola człowieka w lotnictwie, wola walki, uosabia w sobie wolę zbiorową ludzi, harmonijny wysiłek zespołu w dążeniu do jednego celu. Wola człowieka, wola walki w lotnictwie to: walka mózgów, pracy, walka sprzętu, walka organizmu człowieka ożywionego wolą.

Walka mózgów odbywa się gdzieś w zacisznych pracowniach, w gabinetach kreślarskich. Przechodzi następnie w walkę pracy w warsztatach doświadczalnych, później fabrycznych. W wyniku walki mózgów i pracy wychodzą z fabryk szeregi doskonałych płatowców i silników, co razem składa się na samolot.

Konstruktor bierze udział w walce swą wolą, swą duszą i sercem. Jeśli nie włoży tego wszystkiego w swe poczynania, w swą myśl—nie będzie konstruktorem, nie będzie pionierem, nie będzie tym czynnym elementem w walce i nie skonstruuje, a właściwie nie stworzy doskonałego samolotu.

Technicy muszą włożyć nie tylko sumienność, lecz również duszę i serce w pracę, by myśli konstruktora zawarte w planach odtworzyć możliwie najwierniej w materiale, z którego samolot jest budowany.

Samolot wyszedł z fabryki. Czy to wszystko? Nie, daleko nie. Samolot trzeba jeszcze uzbroić. Broń przy tym również musi być doskonała, niezawodna. Lotnicy często mówią, że samolot myśliwski jest to latający karabin maszynowy. Ba, dziś całe gniazdo karabinów maszynowych. Broń lotnicza musi być doskonała, bo jak na przykład usunąć zacięcie karabinu maszynowego zamontowanego w skrzydle podczas lotu w powietrzu.

Walczą więc wpierw mózgi naukowców i specjalistów. Walczą w przestrzeni cztero wymiarowej. Walczą z jednej i z drugiej strony, tej nieprzyjacielskiej. Walka mózgów nie jest co prawda walką efektywną, krew się nie leje, lecz nie mniej często nerwy dochodzą do maksymalnego napięcia, a ostra myśl świdruje mózg konstruktora, często spędza on noce bezsenne, kreśląc plany i robiąc żmudne obliczanie. Jest to więc nie mniej walka zacięta, a tym zacieklejsza, że wymaga iskry Bożej, obok ogromnej systematyczności, logiczności, a przytem woli walki i woli zwycięstwa.

W walce w powietrzu z wolą lotnika zespala się również wola konstruktora, następnie długiego szeregu tych, co pracują w warsztatach doświadczalnych, fabrycznych, kończąc na mechanikach przygotowujących samoloty często pod bombami do każdego lotu.

Walka sprzętu—to jest właśnie wynik walki mózgów i pracy, więc walka szybkości, zwrotności, wytrzymałości, łatwego i pewnego prowadzenia, szybkości wznoszenia się, nurkowania, prostota w obsłudze na ziemi, w powietrzu itd.

Cóż bowiem zrobi najlepszy lotnik, jeśli będzie miał samolot niedoskonały, przestarzały. To tak jak kawalerzysta na chudej starej szkapie, która dawno temu służyła dobrze nawet kiedyś innemu kawalerzyście, lecz już się jej należy emerytura, a kawalerzyście dobry, wytrzymały koń.

Samolot starzeje się, szczególnie podczas wojny, bardzo szybko. Lotnikowi trzeba dać zawsze dobry samolot, nowy lepszy typ, jeśli chcemy, by ukoronował on harmonijny wysiłek zespołu i wolę walki o zwycięstwo.

Samolot kosztuje drogo, nawet bardzo drogo i szybko się starzeje, na to nie ma rady, trzeba dać lotnictwu pieniędzy, tak pełną garścią i tak od serca.

Najdoskonalszy samolot i zamontowane w nim karabiny maszynowe, armatki, podwieszone bomby, same nic nie zrobią, walczyć same nie będą—trzeba dać do tego człowieka, woli człowieka.

Lotnik to wola i to bardzo silna wola. Postawa w samolocie wygodna, siedząca, ruchy minimalne, niemęczące z wyjątkiem przy wyprowadzaniu samolotu z lotu nurkowego i przy wykonywaniu ostrych ewolucji.

Uruchamianie karabinów maszynowych odbywa się przy pomocy dźwigenki, z wszystkich naraz zieje ogień. Karabin maszynowy oddaje około 1200 strzałów na minutę, razem wynosi 9,600-14,400 strzałów na minutę z 8-12 karabinów maszynowych. Nim powiemy wolno "raz" już 160-240 pocisków przedziurawiło nieprzyjacielski samolot, względnie odbywa drogę do niego. Armatka oddaje w ciągu minuty do 400 strzałów.

Polscy myśliwcy umieją strzelać, nic więc dziwnego, że samolot nieprzyjacielski często rozsypuje się w powietrzu, a z reguły sypią się żeń różne odrąbane pociskami części. Pilot oddaje w walce przeciętnie krótką serię, rzadziej dłuższą—musi coś z tych pocisków zostać w samolocie wroga.

To jest właśnie walka sprzętu —samolot wraz z uzbrojeniem, wszysto precyzyjne, doskonale przemyślane i łatwe w użyciu.

Już tylko z punktu widzenia czysto fizjologicznego nie tylko walka w powietrzu, lecz każdy lot są ogromnie ciężkie, z uwagi na warunki, do których organizm człowieka nie jest odpowiednio przystosowany. Zmiana wysokości powoduje zmiany ciśnienia zewnętrznego i stąd pewne zaburzenia w organiźmie pilota. Na wysokości od 40.000 stóp w górę u niektórych występują kropelki krwi na skórze i w kącikach oczu, zdarzają się omdlenia i lotnik odzyskuje przytomność dopiero na kilkaset stóp nad ziemią. Głód tlenu na wysokości jest taki, że trzeba czerpać go ze specjalnego zbiornika przy pomocy maski tlenowej. Zmiana wilgotności, zmiana temperatury w szybkim czasie wpływają również ujemnie na prawidłowe funkcjonowanie organizmu ludzkiego. Przy tym duża szybkość samolotu wywołuje zaburzenia w krążeniu krwi, a nawet przy nagłej zmianie kierunku może zamroczyć lotnika, gdyż duża siła odśrodkowa przy nagłym zwrocie tamuje dopływ krwi i wstrzymuje jej obieg w niektórych częściach organizmu.

W tych warunkach dopiero występuje w całej pełni silna wola lotnika. To ona umożliwia mu pokonywanie tych wszystkich trudności i prowadzenie walki w przestrzeni trójwymiarowej, często w samotności. To silna rola pcha lotnika do podejścia wraz ze swymi karabinami maszynowymi ku samolotwi nieprzyjaciela, również dobrze uzbrojonemu. To ona każe mu zmniejszyć odległość pośrodku na odległość skutecznego strzału.

Pojęcie "odległość skutecznego strzału" w przestrzeni trójwymiarowej jest dość względne. Trudno o taki celownik, który dokładnie uwzględniałby wszystkie elementy wpływające na celność strzału w powietrzu. Lotnicy polscy podchodzą też blisko samolotu nieprzyjacielskiego, by strzały ich były niezawodne.

Nie jest łatwo trafić w tarczę na strzelnicy, a przecież strzelec stoi na pewnej podstawie, stoi nieruchomo i cel jest też nieruchomy. W powietrzu jest trochę inaczej. Samolot, podstawa karabinów maszynowych porusza się szybko. Karabiny maszynowe pilota strzelają zgodnie z ruchem samolotu, nie wpływa to więc w większym stopniu na zmianę toru pocisku. Rzecz ma się inaczej z celem, jakim jest samolot nieprzyjacielski. Cel ten porusza się z szybkością 400—650 km/godz. Pocisk wyrzucony siłą gazów z lufy musi zużyć pewien czas, by cel osiągnąć. Jeśli więc celować w samolot-cel, nim pocisk w to miejsce doleci, celu już tam nie będzie, będzie on o kilkanaście lub kilkadziesiąt metrów w przodzie w zależności z jakiej odległości do niego się strzelało i jaką cel ma szybkość. By trafić w cel ruchomy trzeba dać odpowiednią poprawkę przy celowaniu, czyli celować w jakiś punkt w przestrzeni, w którym znajdzie się samolot-cel w tym samym czasie co i pociski, wyrzucone z karabinów maszynowych.

Nie jest to sprawa łatwa w praktycznym rozwiązaniu. Owszem jest celownik, lecz trzeba wiele strzelać w powietrzu, by nabyć odpowiedniej wprawy i pewności w strzelaniu. Myśliwi, ci co polują na zwierzynę, wiedzą, że naczej strzela się na strzelnicy do rzutek (wyrzucanych talerzyków), niż do zwierzyny w polu, czy w lesie, lub do ptaka w locie. Na celność strzału wpływa wiele: oświetlenie, tło, wiatr, wilgotność, odległość, pozycja słońca i inne. To samo tylko w większym stopniu wpływa i na strzał w powietrzu. Wiele z tych niewiadomych pokrywa siła ognia z kilku i kilkunastu naraz karabinów maszynowych, lecz to jeszcze nie wszystko. Nasi myśliwcy mieli dobrą szkołę ognia w kraju i dlatego umieją celnie strzelać.

Sama umiejętność strzelania i prowadzenia samolotu jeszcze nie rozwiązuje sprawy, jeśli chodzi o zwycięstwo w walce z drugim samolotem. Samolot nieprzyjacielski nie jest bezbronny, ma karabiny maszynowe, ma armatki i lotnicy nieprzyjacielscy też umieją strzelać. W walce powietrznej występuje ważny element, tak zwany zmysł taktyczny, który zezwala myśliwcowi na zajęcie miejsca najdogodniejszego w czasie strzelania dla siebie, a niedogodnego dla lotnika nieprzyjacielskiego. Jest to więc umiejętność manewrowania przed i w czasie walki, umiejętność wykorzystywania błędów popełnianych przez przeciwnika w walce powietrznej, co nie jest rzeczą prostą, ani łatwą.

Na wynik walki w powietrzu składa się wiele, bardzo wiele, a najważniejszym czynnikiem i motorem, obok zdrowia, jest—silna wola walki i wola zwycięstwa.

Samolot sam nie lata, to lata człowiek na skrzydłach, mając jako siłę popędową 1.000 koni. Lotnik i samolot stanowią w powietrzu jedną całość. Lotnik jest w nim przywiązany, niemal zrośnięty z samolotem. Lotnik—to mózg, dusza i serce samolotu. Swoją duszą i swoją wolą lotnik ożywia martwy sprzęt, który również jest produktem woli mózgu i duszy człowieka.

Jest zadziwiająca, jeszcze raz podkreślam, ciągłość woli zbiorowej w lotnictwie od myśli twórczej konstruktora poprzez mechanika do pilota latającego i walczącego w powietrzu.

Walka w powietrzu to walka ludzi-orłów. Polscy lotnicy noszą też na swej piersi szybującego orła z wieńcem z liści laurowych w zagiętym swym dziobie.

Półkozic

"Za najwyższe męstwo..."
Dekoracja lotników angielskich i polskich

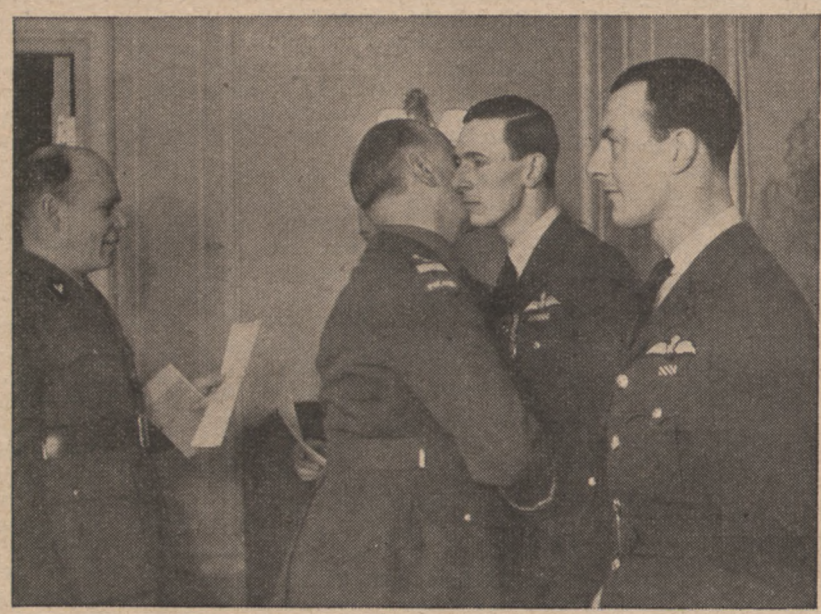

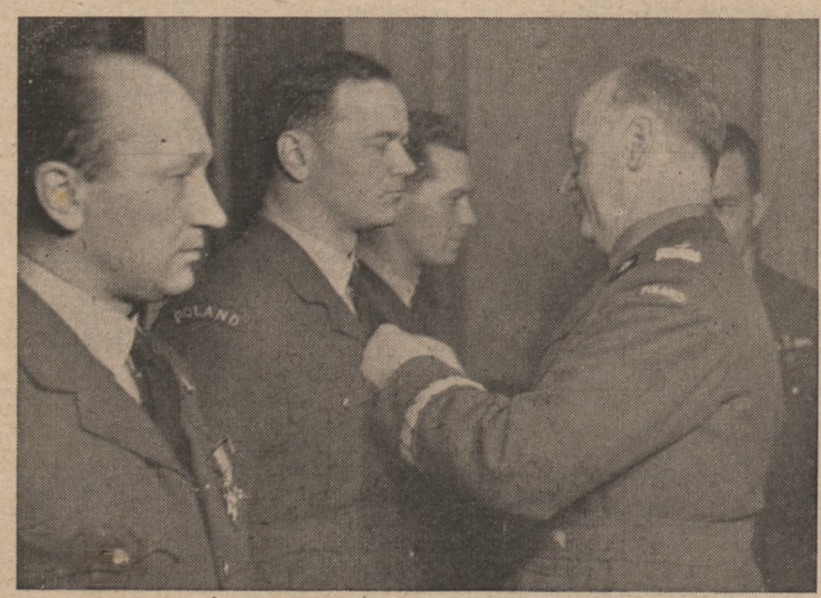

W bliskim odstępie czasu odbyły się dwie uroczystości, symbolizujące polsko-brytyjskie koleżeństwo w walce powietrznej.

Dnia 16-go generał Władysław Sikorski udekorował Krzyżem Srebrnym "Virtuti Militari" kl. V. trzech oficerów lotnictwa brytyjskiego za ich "najwyższe męstwo," wykazane przez nich w okresie dowodzenia polskimi eskadrami, wkrótce po ich sformowaniu, nim zostały obięte przez polskich dowódców.

Odznaczeni są: Squadron Leader John Alexander Kent, D.F.C., A.F.C., Squadron Leader Athol Stanhope Forbes, D.F.C., i Squadron Leader Ronald Gustave Kellett, D.S.O., D.F.C.

Na uroczystości byli obecni wyżsi oficerowie brytyjskiej armii powietrznej.

23-i stycznia. Nastrój prosty i skupiony, ciepły i jasny. Żołnierze stoją w niewielkim pokoju, szeregiem załamanym—od pułkownika—do podoficera. Wchodzi Naczelny Wódz. Inspektor lotnictwa melduje mu przedstawionych do "Virtuti Militari" żołnierzy. Na stoliku leżą przygotowane srebrne krzyżyki, z wstążeczkami o barwach, które mówią o śmierci i sławie. Naczelny Wódz wypowiada formułę nadania i patrzy na żołnierzy tych serdecznie. Zna wagę tego momentu, wie co mówią serca żywo bijące pod suknem munduru. Wszyscy są wzruszeni, nikt tego jednak nie okazuje. Ale także nikt nie sili się na specjalną marsowość. Wszyscy—od generała—który tak długo jest żołnierzem aż do podoficera wiedzą —że przyjaźnią i życzliwością wojenną—okrywa nas ta chwila. Order V.M. ma licznych kawalerów. Bractwo najlepszych żołnierzy Rzeczypospolitej wita przybywających. Szczękają fotoaparaty i małe błyskawice raz po raz oświetlają twarze. Ale my nie słyszymy i nie widzimy tego, mimowoli myśląc o datach wielkich i sławnych.

Z kampanii francuskiej

Pancerniacy idą na piechotę

*(Wyjątek z dziennika bojowego)**

Brygada, poprzedzana szpicą z trzech czołgów i kilku motocykli, ruszyła w jednej niewielkiej już kolumnie. Przydzielony nam sprzęt czołgowy, francuskie czołgi R.35 były doskonałe, jeśli chodzi o wytrzymałość, ale dużo za wolne, żeby pracować razem z nami w marszu. Robiły najwyżej 15 km na godzinę. Co prawda miał iść z nami drugi batalion na front—szybkie czołgi, które chodziły 40 km. na godzinę. Ale właśnie tamte Fracuzi odebrali i przydzielili jakiejś jednostce francuskiej. I właśnie teraz, kiedy całym zagadnieniem wyjścia przed czoło Niemców to nie była kwestia dni, ale po prostu godzin, musieliśmy całą kolumną maszerować bardzo wolno, bo czołgi nie mogły prędzej.

W rejonie Flavigny szpica nasza natknęła się na niemieckie samochody pancerne. Na zewnątrz pierwszego z nich siedział oficer francuski i machając białą chusteczką, zawiadamiał o zawieszeniu broni.

W rezultacie nasi i Niemcy rozjechali się bez strzału, ale dalsze nasze rozpoznanie wykazało, że już we Flavigny znajduje się dość poważny oddział niemiecki z bronią pancerną. Dowódca Brygady, który chciał zdecydować się na walkę tylko w wypadku ostatecznym, postanowił przesunąć oś marszu przez Bagneux-les-Juifs i Lamargette.

W rejonie Lamargette pod wieczór, przy padającym deszczu, zatrzymaliśmy się w głębokiej kotlinie leśnej. Rozpoznania wysłane na wszystkie strony, stwierdziły wszędzie Niemców i to już bardzo blisko. Jednocześnie z tym wróciły z pod Dijon trzy samochody z rannymi—przypadkowo trafiły na nasze rozpoznania. Pytamy się, gdzie jest czwarty samochód. Okazuje się, że Niemcy mimo znaków Czerwonego Krzyża, na pierwszy wóz rzucili kilka granatów. Wóz został uszkodzony. Co się z nim stało—niewiadomo. Jadące w dużych odstępach pozostałe trzy wozy zdążyły zawrócić i wycofać się.

W tej ciężkiej sytuacji okazało się jeszcze, że w ostatnich trzech czołgach skończyła się benzyna, a tu nigdzie ani kropli. Nawet rozbitych wozów nie ma, żeby można było z baków poprzelewać.

Wobec tych warunków, Dowódca Brygady powziął smutną decyzję—nie ma innego wyjścia. Przejdziemy jeszcze kilka kilometrów do lasów Bois de Malte na południe od Moloy—tam zniszczymy cały sprzęt motorowy i potem pójdziemy pieszo, przebijąc się z bronią w ręku przez pierścień niemiecki.

W zupełnym zmroku Brygada wjechała na dużą polanę lasu de Malte. Wydano rozkazy zniszczenia sprzętu. Nie wolno było palić wozów z obawy, że pożar mógłby nas zdradzić. W ciemnościach prawie, przy niemiłosiernie padającym deszczu, rozbijaliśmy młotkami chłodnice, wykręcaliśmy co się dało—wszystkie opony poprzebijano.

Na rozkaz Dowódcy Brygady por. M. ma zabrać wszystkich rannych i umieścić ich w pewnym określonym miejscu.

Nie wysłałem naszego dowódcy szwadronu razem z rannymi do Dijon. Wiedziałem, że byłaby to ciężka chwila dla niego, rozstać się w takich warunkach ze szwadronem, którym dowodził od chwili jego powstania na ziemi francuskiej i dla którego był naprawdę ojcem. Żołnierze byli do niego tak przywiązani, że trudno było znaleść równie piękny przykład.

Przez sześć miesięcy byłem w tym szwadronie i wiedziałem, że taki dowódca nieczęsto się trafia. Byłem do niego przywiązany jak do brata. Lubił mnie, ja lubiłem jego—pracowało się nam doskonale i teraz . . . musimy go zostawić. Muszę mu powiedzieć, że on zostanie, a my pójdziemy dalej—w nieznane—pójdziemy na piechotę, przez lasy. A gdzie, kto i kiedy dojdzie—nie wiadomo!

Pamiętam jeszcze jedno, i pamiętam to niestety zupełnie dobrze. Może lepiej, żebym tego w tej chwili nie pamiętał. Pamiętam, że ma młodą żonę, i pamiętam, że pewnego dnia, jeszcze na kwaterze w Arpajon, siedzieliśmy u siebie w pokoju. Ja leżę i coś czytam, a on pochylił się nad stołem i wyjąwszy coś z kieszeni, drapie cały czas scyzorykiem. Pytam się, co robi—nic nie odpowiada. Po jakichś 10 minutach podchodzi do mnie i mówi:

—"Słuchaj, pewnie w tych dniach wyjedziemy na front. Ja tu kupiłem złotą branzoletkę i wydrapałem na niej imię mojej żony i moje—pamiętaj!—jak mnie się coś złego stanie, zdejm to z mojej ręki i oddaj kiedyś żonie, ja wiem, że ty masz szczęście i tobie się nic nie stanie."

Zaczęłem się wtedy śmiać i powiedziałem, że napewno żadnemu z nas nic się nie stanie, i nie będzie potrzeba zdejmowania tej branzoletki.

Teraz pamiętam to dokładnie, jak się niestety sprawdziło. Granat, który wybuchł między nami, rani tylko jego, ja nie mam nawet śladów zadrapania. I właśnie nadchodzi taka chwila, muszę mu powiedzieć, że go odsyłam z rannymi. Jego żona jest daleko w Polsce—kazał mi wtedy zapisać jej adres.

Nie mogę się zdobyć na podejście do jego samochodu. Postanawiam, że prośby z Arpajon nie wykonam—nie mogę.

Leży w swoim wozie, oparty na prawym boku. Jest bardzo blady. Powoli zaczynam mu mówić jaka jest sytuacja, że będzie w dobrych warunkach, u dobrych ludzi, rozumie to . . . Patrzy na mnie—zmęczona, smutna twarz—mówię mu, że zostanie z nim kierowca i najlepszy sanitariusz.—Pytam się czy ma pieniądze. Tak, ma! Zabieram jego pistolet i . . . nie mogę odejść—staję na baczność, wyciągam rękę i jeszcze mówię, że jeżeli tylko zmieni miejsce pobytu, niech zawsze zostawi jakąś wiadomość—jeżeli ja się stąd wydostanę, będę się starał napisać do niego, lub w inny sposób nawiązać łączność—wolno podaje mi rękę, widzę w obu oczach duże łzy—pochyla się do mnie, całujemy się serdecznie—jeszcze raz salutuję i . . . "czołem panie rotmistrzu." Ostatnie słowa mówię szybko—na prawym ręku widzę u niego cieniutką złotą branzoletkę. Boję się, żeby sobie nie przypomniał tego, cośmy mówili w Arpajon—robię w tył zwrot, odchodzę.

Nie mówię nic ludziom o odjeździe ich dowódcy. Por. M. prowadzi tę smutną kolumnę i wkrótce wszystkie wozy z rannymi znikają za zakrętem.

Idę do szwadronu—jest już zupełnie ciemno—wzywam dowódców plutonów i szefa szwadronu na odprawę. Ostatnie rozkazy—"Jutro rano o godz. 0400 Brygada wyrusza na piechotę z bronią w ręku. . . ."

Staś podchodzi i pyta, co zabieram ze sobą, żeby zapakować.

"Co zabieram?!"—Nic. Mam tam wprawdzie pełną kantynę—bielizna, skarpetki, drugie buciki i dużo innych rzeczy, ale poco mi to teraz.

Mówię do Stasia, że może sobie wybrać co tylko zechce, ale nie radzę za dużo, bo będzie ciężko maszerować. Dla mnie—mydło, ręcznik, jedna koszula i dwie pary skarpetek—to wszystko do chlebaka.

W ciągu nocy około 12-ej godziny, przychodzi rozkaz, żeby zwolnić do domów tych żołnierzy, którzy pochodzą z Francji, a którzy chcieliby wrócić do domów. Oni mają tu domy, rodziny, warsztaty pracy . . . a my, nie mamy tu nic i dla nas wojna jeszcze nie jest skończona.

Z mego szwadronu odchodzi zaledwie kilku—reszta postanawia dalej maszerować razem.

Te cztery godziny właściwie przechodziłem, rozmawiając z podoficerami i ze strzelcami. Dopiero gdzieś koło 3-ej siadłem koło mego kierowcy, ostatni raz w naszym wozie bojowym, i w tak niewygodnej pozycji przespałem tę ostatnią godzinę.

O 4-ej rano zbiórka szwadronu—brakuje Stasia—nic mi nie meldował, że odchodzi. Przykro mi, że nie przyszedł się pożegnać. Mamy resztki sucharów, chleba nie ma od wczoraj, ani kawałka. Niektórzy mają w manierkach wino, ale też nie dużo. Każda kropla się liczy. Maszerujemy na miejsce zbiórki Brygady—każdy oficer ma chlebak przewieszony przez ramię i karabin.

Patrzę na żołnierzy, zmęczone twarze, napewno głodni, sam nie pamiętam, kiedy ostatni raz była gorąca strawa. Chociaż oprócz sucharów i wina też nic w ustach nie miałem, nie myślę jednak o głodzie—nie jestem głodny—widzę twarz mego gońca—pytam go jak się czuje—"dobrze!" Nie ma tego uśmiechu co zawsze, ale w oczach jego czytam to samo, co w oczach każdego w tej chwili—Tak, bracie!—ciężko zostawić wozy i iść na piechotę. Czekaliśmy przecie na nie pół roku—niedługo nam służyły. Ale i ja i ty bracie i każdy tutaj, my wszyscy wiemy dobrze jedno—że iść trzeba! Kto, gdzie i kiedy zajdzie, żaden z nas nie wie, ale czy razem, czy osobno, czy wszyscy, czy tylko niektórzy, musimy dojść!

W czasie marszu podają od tyłu, że Staś jest. Wołam go do siebie—ma wzrok zawstydzony. "Co się stało! Gdzie byłeś?"

Staś zmięszany odpowiada, że kolega namówił go, żeby pójść "do domu," a wstydził się mi o tym zameldować, więc poszedł w nocy bez pożegnania. Tak mu jednak ciężko było i tak smutno, że się ze mną nie pożegnał, że zostawił kolegę i prędko szedł z powrotem, żeby zdążyć na zbiórkę—teraz postanowił, że idzie ze szwadronem—a już był 6 klm. od nas!

Śmieję się i mówię, że bardzo się cieszę, że on jest, bo bez niego byłem smutny. Staś powoli odzyskuje swoje dobre samopoczucie.

Dowódca Brygady sprawdza stany. Niecałe 600 bagnetów—porządek w marszu, i wolno ruszamy od razu przez las pod dużą górę. Nieprzyzwyczajone do ciężkich marszów nogi kawalerzystów odczuwają to wyraźnie.

Kamil Bogumił Czarnecki

* Por. dwa fragmenty p.t.: "Brygada pod Montbard," drukowane w nr. 32 i 33 "Polski Walczącej" z minionego roku.

Ostatni pocisk

Myśliwcy, ubrani całkowicie do lotu, czekają. Dzień jest pogodny i słoneczny, więc cały personel dywizjonu jest przed barakiem. Niektórzy wypoczywają na leżakach, inni leżą wygodnie na ziemi.

Nastrój jest wesoły. Jeden tylko porucznik "Paszko" jest zmartwiony i pochmurny, gdyż w poprzednim locie "nic nie było."

Rozmowa toczy się dokoła tematu ataków powietrznych, walk i zestrzeleń. Piloci opowiadają o swych spostrzeżeniach. Między innymi poruszono sprawę osobistych życzeń: kto ma i jakie w swoim życiu marzenia. Zapytany "Paszko" odpowiada:

—Moim marzeniem jest, ażeby mój ostatni pocisk nie poszedł na marne, a poza tym. . . .

Nie dokończył. Dyżurny telefonista podniósł słuchawkę telefonu. Rozkaz startu.

Dywizjon, wyciągnięty w szyk, kluczy jeden za drugim, kierując się na południowy wschód od Londynu. "Paszko" prowadzi swoją eskadrę za eskadrą pierwszą. Dywizjon osiąga wysokość 25,000 stóp.

Jesteśmy nad Tamizą. Widoczność jest dobra, miejscami tylko przemykają się cieńkie, rozbite, spłoszone chmury. Przed nami lśnią wody Kanału La Manche, za nimi ciągnie się ciemno-niebieskie wybrzeże francuskie.

Z lewej strony od nas mamy jako sąsiadów dwa angielskie dywizjony myśliwskie, nabierające również wysokości. Przez cały czas od chwili startu prowadzi nas radio. Ktoś jednak przeszkadza, gdyż słychać bezładne, szybkie tempi Morse'go, co często się zdarza przed momentem spotkania przeciwnika.

Radio podaje naszemu dywizjonowi kurs 110°. Potem słyszymy:

Zmienić kurs na 120°. Wyprawa bombowa w pobliżu was z kierunku południowo-wschodniego. Wysokość 25,000 stóp!

Dywizjon robi łagodny zakręt w prawo. Widać już nieprzyjacielskie ugrupowanie bombowe, kierujące się na Londyn. Na pierwszy rzut oka maszyn kilkadziesiąt. Nad nimi błyszczą w słońcu żółte pyski Messerschmitów myśliwskich typu "109." Jest ich dużo, w każdym razie znacznie więcej niż nas.

Dywizjon lekko zakołysał się, piloci odbezpieczają karabiny. Szyk rozluźnił się w poszczególnych trójkach. Dywizjon przyjmuje szyk do ataku, kierując się w stronę zapory ogniowej artylerii przeciwlotniczej.

Nieprzyjacielska wyprawa bombowa uszykowana jest trójkami, szyk jej ciasny, prawie defiladowy, trudny do rozbicia. Osłona myśliwska Messerschmitów, krążąca nad bombowcami, chodzi dwójkami lub czwórkami.

Nasz dywizjon ma już odpowiednią przewagę wysokości, dogodną do ataku. Najskuteczniej atakuje się trzy czwarte z przodu, z góry.

Pierwsza maszyna naszego dywizjonu przewala się przez prawe skrzydło, za nią druga, trzecia, następnie drugi klucz, trzeci—uderzając na szyk bombowców. Ze skrzydeł atakujących maszyn tryskają smugi pocisków. Przejechał się po bombowcach nasz dywizjon, za nim dwa angielskie.

Szyk wroga łamie się. Widzę, jak kilka jego maszyn, silnie dymiących, wypada z szyku. Niektóre z nich, atakowane przez poszczególnych naszych myśliwców, starają się bronić ostrymi zakrętami, lecz nic im to nie pomaga. Myśliwcy po prostu przyczepiają się do nich i trzymają ich się tak długo, dopóki ranione ciężko bombowce zupełnie nie zwalą się w dół.

Inne maszyny niemieckie starają się wyjść z orbit walki, lecz bezskutecznie. W krótkim czasie wykańczają ich nasi myśliwcy. W czasie pojedynków, odbywających się na piekielnej szybkości, smugi ogniowe karabinów maszynowych krzyżują się z białymi smugami szybkości, jakie samoloty pozostawiają za sobą.

I znów jedna z nieprzyjacielskich wypraw bombowych na Londyn unieszkodliwiona i rozpruta.

Lecz w tym momencie spływają na nas Messerschmity. Robi się w powietrzu niesamowity bałagan. Luźne trójki bombowców lub maszyny pojedyńcze, Hurricany, Messerschmity, Spitfiry. Czarne krzyże złowrogo migają przed oczyma, między nimi koliste znaki "Kościuszków" i znaki angielskie. Kilka palących się maszyn, znacząc łuki czarnego dymu na niebie, bezwładnie wali się ku ziemi. Są już nawet "paraszuciści," biedacy. Białe kopuły spadochronów wyraźnie odbijają się na tle ziemi.

Jedna trójka bombowców korzysta z ogólnego zamieszania i widać, że kieruje się nad pobliską fabrykę nad Tamizą. Na pełnym gazie zamierzam przeciąć jej drogę. Już szukam jej w czerwonej orbicie celownika. Nagle jak grom z jasnego nieba szurnął przede mną "Kościuszko" z literą "M" na kadłubie, uderzając wprost na trójkę bombowców.

Co się następnie działo, nie umiem dokładnie opisać. W pewnej chwili zauważyłem w powietrzu rozdartą część kadłuba a dalej strzęp skrzydła niemieckiego bombowca H.111. Lecz równocześnie ujrzałem i naszego Hurricane'a w korkociągu z grubą smugą czarnego dymu. Hurricane'a "Kościuszkę" z literą M.

Inne maszyny niemieckie lepiej się urządziły, zawracając z miejsca do domu.

— — — — — — —

Nasze maszyny wracają pojedyńczo z wyprawy i dążą na północ na różnych wysokościach. Słyszę przez radio rozkaz:

—Wracać! Lądować!

Amunicji już nie mam, lecz dla zasady zabezpieczam karabiny. W drodze powrotnej robię rundę nad kanałem La Manche.

Po wylądowaniu dowiaduję się, że na maszynie "M" był nasz "Paszko." Zginął nad Tamizą w świadomości, że ostatni jego pocisk nie poszedł na marne.

Pilot "303" W.U.

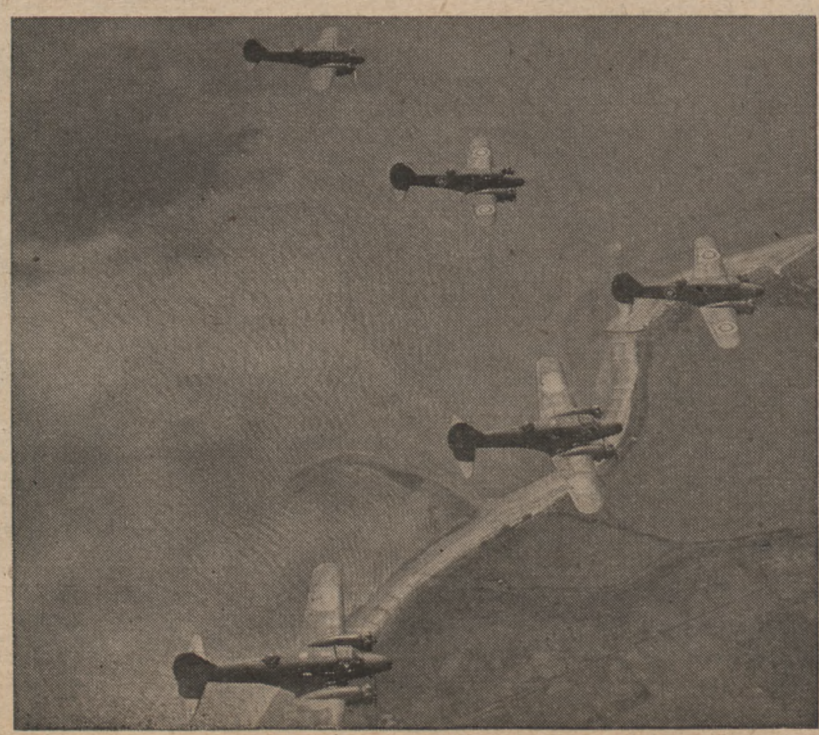

Wojna na morzu

WSPÓŁDZIAŁANIE MARYNARKI WOJENNEJ Z ARMIĄ LĄDOWĄ W AFRYCE

Ostatnie operacje Brytyjskich Sił Zbrojnych wykazały że wbrew poprzednio lansowanej zwłaszcza przez Niemców opinii Brytyjczycy potrafią znakomicie uzgadniać akcję na morzu na lądzie i w powietrzu. Wielka ofensywa Brytyjska w Libii jest tego twierdzenia dowodem. Pomimo że przeciwnik nie należał do wojsk najbitniejszych w Europie, jednak był doskonale wyekwipowany i przewyższał liczebnie Wojska Brytyjskie. Teren pustynny, skalisty i bezwodny, klimat kontynentalny, o gwałtownych przeskokach od nieprawdopodobnych upałów do przeraźliwych chłodów w nocy/ kto nigdy nie był na pustyni nie może sobie tego wprost wyobrazić/ dostarczały trudności, często nie do pokonania i były najsilniejszym sprzymierzeńcem obrońców.

A pomimo to generał Wavell ominął te trudności i pokonał znacznie silniejszego i butnego przeciwnika z mistrzostwem i precyzją godną podziwu. Działo się wszystko, jak na manewrach które miałyby za zadanie przeprowadzenie dowodu, że dla osiągnięcia rezultatu wszystko jest możliwe, co dotychczasowym strategom wydawało się "nie klasyczne" i, że współdziałanie Floty z siłami lądowymi i Flotą Powietrzną jest nie tylko wskazane, ale konieczne w tych wypadkach, gdzie teren na to pozwala.

Ostatnie szybkie zdobycie italskiej bazy morskiej w Tobruku, jedynej bazy dla większych okrętów w Cyrenejce, jest uwieńczeniem tej akcji. Wszystko jednak wskazuje na to, że ofensywa w Libii prowadzona będzie nadal z niesłabnącą energią. W Tobruku Brytyjczycy zatopili jeden włoski okręt podwodny, kilka statków pomocniczych, duży statek transportowy i unieszkodliwili na zawsze stary krążownik "San Giorgio"/ 9.232 tonn, 4 działa 10 calowe, 8 dział 7. 5 calowych, 10 dział 3 calowych i 6 dział p.l. 3 calowych; zbudowany w roku 1910/. Krążownik, obrzucony bombami stanął w płomieniach, a dzieła zniszczenia dokończyła sama załoga, opuszczając go. Wśród olbrzymiej masy jeńców włoskich w Tobruku znajduje się również admirał dowódca bazy— "elegancki, impertynencki, nerwowy, z nieodłącznym cygarem w ustach i niezwykle gadatliwy," jak go opisują korespondenci wojenni, oraz wielka ilość oficerów morskich i marynarzy.

Jakie jednostki Floty Brytyjskiej współ działały w bombardowaniu Tobruku Admiralicja Brytyjska nie ogłasza. Przypuszczać jednak należy, że były to te same okręty, które dwa tygodnie temu taką "łaźnię spuściły" Włochom w Bardii. Bardię zaś bombardowały bynajmniej nie największe i nie liniowe jednostki. Głównym bohaterem tego bombardowania była stara kanonierka "Erebus," przed wojną już zamieniona na okręt ćwiczebny i znowu przywrócony do służby czynnej /2 działa 15 calowe, 2 działa 4 calowe, 2 działa 3 calowe p.l. i 8 dział p.l. mniejszych; wielkość 7.200 tonn; szybkość 12 węzłów/, której bardzo skutecznie pomagały kontrtorpedowce.

Dotychczasowa wojna na morzu prowadzona jest przede wszystkim przez te niezastąpione okręty i przez okręty podwodne. Rzadziej przez krążowniki lżejszego typu. Od czasu bitwy w La Plata i przy brzegach Norwegii wielkie jednostki flot nie biorą udziału w wojnie, jeśli pominiemy bombardowanie okrętów francuskich w Oranie przez H.M.S. "Lorda Rodneya."

H.M.S. HYPERION

To też największe straty są po obu stronach właśnie wśród tego małego typu okrętów. Ostatnio Flota Brytyjska straciła kontrtorpedowiec H.M.S. "Hyperion" /1.340 tonn/, który zginął w sposób godny niepokalanej tradycji Marynarki Brytyjskiej. H.M.S. "Hyperion" trzy noce przedtym brał udział w śmiałym raidzie brytyjskich, lekkich sił morskich na Adriatyk, w którym okręty angielskie dotarły aż pod Durazzo.

"Hyperion" wpadł na minę, która go uszkodziła tak bardzo, że nie mógł się poruszać o własnych siłach. Pod gwałtownym i silnym ogniem włoskim kontrtorpedowiec ten (osłaniany zaledwie przez drugi kontrtorpedowiec, "związany" z nieprzyjacielem i nie mogący udzielić bezpośredniej pomocy) próbował sam naprawić jako tako swoje uszkodzenia. Jednakże wszelkie usiłowania załogi okazały się benadziejne, a pomoc, wezwana drogą radjową, nie nadchodziła. Sytuacja więc słabych kontrtorpedowców stawała się tak krytyczna, że po wyczerpaniu wszystkich możliwych środków, gdy były już tylko dwie godziny ciemności/które jako tako chroniły oba okręty/ dowódca zdecydował się na zatopienie uszkodzonego "Hyperiona."

"Będąc już bezpieczni na naszym towarzyszu"—opowiadał jeden z oficerów—"ujrzeliśmy nagle płomienie, wydobywające się z tub torpedowych naszego pięknego "Hyperiona," potem nastąpiła straszliwa eksplozja i okręt zaczął bardzo powoli tonąć. Jakże wdzięcznie tonął ten dzielny okręcik" — zakończyl smutno swoje opowiadanie marynarz.

To też służba na kontrtorpedowcach i na okrętach podwodnych jest obecnie najcięższa i wymagająca mocnych nerwów i opanowania, a przy tym żelaznego zdrowia. Od akcji małych okrętów wojennych zależy teraz nie tylko powodzenie przeprowadzanych akcji, ale również "możność oddechu" na morzu, bezpieczeństwo szlaków komunikacyjnych.

POLSKIE JEDNOSTKI W AKCJI

Polskie kontrtorpedowce, okręty podwodne i ścigacze biorą nieustanny udział w służbie patrolów zwiadowczych i służbie eskortującej. Praca ta jest niesłychanie ciężka i wyczerpująca wobec panującej w ostatnich czasach złej pogody zimowej na Atlantyku i na Morzu Północnym. Sztormy i mgły, fale i wichry walczyły z naszą małą, a dzielną flotą—nie mniej uparcie i podstępnie, niż wróg. Nasze jednostki brały udział przed stosunkowo niedawnym czasem, w niektórych operacjach, przeprowadzanych przez Flotę Brytyjską przy brzegach kontynentu, okupowanych przez wroga.

MARYNARZE POLSCY W GOŚCINIE BRYTYJSKIEJ

Podczas niedawnych Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku wielu polskich marynarzy spędziło swoje urlopy w domach szkockich i angielskich. W tych faktach mieści się głęboka treść wzrastającej z każdym dniem przyjaźni polsko-brytyjskiej, opartej na wzajemnym szacunku i uznaniu obustronnej wartości bojowej. W domach szkockich i angielskich Polacy znaleźli ludzi morza, rozumiejących ich przeżycia i serca głęboko z nimi współczujące.

Bo choć okręty Polskiej Marynarki Wojennej są jedynym terytorium suwerennym Rzeczypospolitej Polskiej w obecnych przejściowych czasach, to jednak serca naszych marynarzy, jak serca nas wszystkich pozostają wśród bliskich w kraju, pozostawionych z konieczności na łasce i niełasce okrutnego i bezwzględnego okupanta. Znaleść więc na polskie, serdeczne święta kogoś tak oddanego i dobrze rozumiejącego nas, jak rodziny brytyjskie — to wielka rzecz. Sądzę tedy, że nie od rzeczy będzie, gdy to się podkreśli jeszcze raz w "Polsce Walczącej" na szpaltach mówiących o morzu i walce na morzu.

PODRÓŻ LORDA HALIFAXA

A olbrzymie przestrzenie wód są terenem, na którym w obecnej wojnie zawsze się coś dzieje jeśli nie w sensie bojowym to chociaż w. . "dyplomatycznym." Takim wydarzeniem o kapitalnym znaczeniu na dalszy przebieg wypadków jest przebycie Atlantyku przez nowego ambasadora brytyjskiego w Stanach Zjednoczonych Lorda Halifaxa na najnowszym i najsilniejszym pancerniku świata "King George V."/ 35.000 tonn, 10 dział 14 calowych, o specjalnie zwiększonej szybkości początkowej i po raz pierwszy w dziejach okretów bojowych umieszczonych w poczwórnych wieżach, 6 dział 5.25 calowych, szybkość jak na pancerniki tej wielkości dotąd rzadko osiągana; 30 węzłów i pancerz potężniejszy jeszcze, niż u "Lorda Nelsona." Specjalnie wzmocnione pokłady z pancerzem p.l. . Bardzo silna artyleria p.l./

Fakt że Wielka Brytania wysłała swego Ministra Spraw Zagranicznych jako Ambasadora, że odprowadzał go na okręt sam premier i że okrętem, który tego ambasadora przewoził na nowe miejsce przeznaczenia był pancernik najnowszej i najsilniejszej klasy pancerników świata ("King George V," "Prince of Wales," "Duke of York," "Jellicoe," "Beatty") uwydatnia wagę, jaką rząd Jego Królewskiej Mości przywiązuje do misji Lorda Halifaxa.

FLOTA WOJENNA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

W związku z tym należy scharakteryzować Flotę Wojenną Stanów Zjednoczonych. Jest to bowiem obok Floty Imperium Brytyjskiego najpotężniejsza obecnie flota kuli ziemskiej. Składa się na nią 15 potężnych pancerników (plus 8 wykańczanych pośpiesznie lub będących w budowie), 18 ciężkich krążowników 19 krążowników lekkich, 6 wielkich lotniskowców, 224 kontrtorpedowce i 87 okrętów podwodnych, nie licząc wielkiej ilości ścigaczów, okrętów pomocniczych i olbrzymiej floty handlowej i rybackiej podlegającej mobilizacji w razie wojny. Potęga ta byłaby w możności wesprzeć sprzymierzeńców nawet w wypadku (zdaje się mało prawdopodobnym) wejścia Japonii do ewentualnej wojny na Pacyfiku.

SPOKÓJ NA PACYFIKU

A na Pacyfiku na razie "spokój." Korsarze niemieccy podszywający się pod neutralne flagi i udający statki handlowe zaprzestali na razie rozbójniczej działalności, która została uniemożliwiona przez zabezpieczenie główniejszych szlaków morskich przez floty australijską, nowozelandzką i brytyjską Pacyfiku. Tę wspaniałą pracę flot dominialnych ze szczególnym zadowoleniem podkreśla prasa angielska, zaznaczając, że jedność Imperium, wspaniałą jedność opartą na wolności, wzajemnym szacunku i zrozumieniu, scementowały nie tylko czyny wojsk australijskich i nowozelandzkich w Libii, Erytrei, Kenii i Sudanie, ale również i floty Dominiów.

Olbrzymia maszyna Imperjum pracuje może powoli ale metodycznie, planowo, niezawodnie. Jak bowiem wspaniałymi są operacje na Morzu Śródziemnym, jeżeli przyjrzymy im się z perspektywy czasu. Zwycięstwo powietrzno-morskie w Taranto i zwycięstwo Floty pod Sycylią unieszkodliwiło okręty włoskie, pozwoliło Brytyjczykom przeciąć morskie szlaki komunikacyjne z Libią i z włoskimi koloniami afrykańskimi.

W ten sposób dało w ręce generała Wavella możliwość "spokojnego" likwidowania włoskiego "Imperium Afrykańskiego." W dalszym ciągu Flota współpracuje w tym dziele, a niedługi jest zapewne czas, gdy usłyszymy o nowych czynach tej świetnej współpracy morsko - powietrzno - lądowej, która doprowadzi do zejścia z pola walki jednego przeciwnika. Wówczas przyjdzie kolej na następnego, tego "bliższego" polskim sercom.

Bohdan Pawłowicz

W poprzednim przeglądzie morskim (w 4-ej szpalcie, wiersz 54-y) zaszła pomyłka korektorska. Zamiast: . . . od pływających min magnetycznych i zerwanych przez burze. . ." winno być: "od min magnetycznych, pływających i zerwanych przez burze. . ."

O Anglii i Anglikach

PRASA.—KSIĄŻKA.

II.

Jedną z najbardziej uderzających cech życia angielskiego jest czytelnictwo. Prasa angielska posiada znaczne nakłady, czasopism jest sporo, a książki wychodzą w tysiącach egzemplarzy.

Nie tylko prasa stołeczna ma wielkie nakłady, idące nieraz w miliony. Także i prasa prowincjonalna trzyma się mocno, przyczem na prowincji pojawiają się pisma o niezwykle wysokim poziomie (jak n.p. "*Manchester Guardian*" albo "*Yorkshire Post*," w Szkocji: "*Scotsman*" lub "*Glasgow Herald*"). Gazety londyńskie używają niekiedy miana "*national papers*," gdyż rozchodzą się na cały kraj.

Największe nakłady wśród nich, to pismo niedzielne (w Anglii codzienne gazety nie wychodzą w niedzielę) "*News of the World*," które ma ponad 4 miliony egz. oraz "*Daily Express*" mający w dobrych czasach ponad 2 i pół miliona nakładu. To drugie pismo należy do klasy popularnych "*dailies*" razem z "*Daily Mailem*" i "*Daily Heraldem*." "*News Chronicle*" skłania się do poważniejszego odłamu, o zabarwieniu politycznym, do którego to odłamu należy "*Daily Telegraph*."

W odrębnej klasie znajduje się "*Times*" dalej utrzymujący swoją cenę 2 pensów (pisma, które doniedawna miały tę cenę po wojnie przeszły na 1d.).

Tygodniki angielskie dobrze ugruntowane i o dobrych nakładach to—jeżeli chodzi o tygodniki polityczno-społeczne—"*Spectator*" i "*New Statesman*"; ostatnio do grupy tej dołączył się doskonały "*Time and Tide*." Nie można pominąć poważnego katolickiego tygodnika "*Tablet*." Poza tym jest klasa tygodników o charakterze literackim jak "*John O'London's Weekly*," a wreszcie popularnych, jak "*Leader*," "*John Bull*," "*Cavalcade*," "*News Review*," czy "*Everybody's*."

Tygodników ilustrowanych jest legion, poczynając od popularnych jak "*Illustrated*" i "*Picture Post*," przez tygodniki "*Sphere*" (wiedza i wynalazki), "*Illustrated London News*" (aktualności) po t.zw. towarzyskie jak "*Sketch*" czy "*Tatler*." Nie brak pism bardziej wyłącznych niejako, jak "*Country Life*."

Naturalnie nie wyczerpuje to ani w części bogatej listy tygodników, poświęconych specjalnie przygodzie, sportom, noweli detektywnej i t.zw. *thrillerom* (romansom kryminalnym), wszystkie te tygodniki utrzymują się doskonale.

Wśród miesięczników wymienić należy "*XIXth Century and After*," "*National Review*," "*Fortnightly Review*," "*Contemporary Review*"; *ostatnio pożyteczną rolę spełnia* "*World Review*," *miesięcznik* o charakterze popularnym i popularyzacyjnym. W klasie kwartalników znajduje się "*Political Quarterly*," doskonafiy katalicki "*Dublin Review*" a wreszcie na najwyższym poziomie stojący "*Round Table*," przegląd spraw Imperium, gdzie pojawiają się prace niepodpisane.

Wspominamy o tych czasopismach, gdyż niejednokrotnie przyjdzie nam zahaczyć o jakiś artykuł albo rozbiór, który pojawił się na ich łamach.

* * *

Książka angielska posiada olbrzymi rynek zbytu: otworem dla niej stoi nie tylko Anglia, ale Imperium a poza tym Stany Zjednoczone. Ma ona więc prawo obywatelstwa na całym świecie. Tym tłomaczy się fakt, że tyle setek książek angielskich przekłada się rok w rok na wszystkie języki świata: Anglia jest olbrzymim producentem książek i to we wszelkich działach—historii, życiorysów, powieści psychologicznej, obyczajowej, detektywnej. Bogato jest tu reprezentowany każdy dział literatury. Produkcja angielska w dobie pokoju była potężna, w dobie wojny spadła niewiele.

Autorzy angielscy reagują bardzo szybko na aktualności; przykładem tego, że na temat załamania się Francji mamy dzisiaj już co najmniej z pół tuzina dobrych, niekiedy doskonałych książek. Norwegia i kampania norweska opisana została w tuzinie książek. Zagadnienie niemieckie hitleryzm, ustrój partii i państwa niemieckiego—ta literatura sięga dzisiaj w setki tytułów.

Nie ma działu nauki czy sztuki, w którym by nie można znaleść opracowań bardzo serio i mniej serio. Wszystkie sprawy aktualne i żywotne mają natychmiast oświetlenie, zawsze znajdują się czytelnicy dla tych książek. Przyczynia się do tego fakt, że Anglia posiada specjalistów od każdego działu, że setki autorów podróżuje (niektórzy ustawicznie, pojawiając się na każdym terenie gdzie "coś się dzieje"). Dziennikarze angielscy piszą również wytrwale, a każdy dziennikarz stawia sobie za cel swoich ambicyj popełnienie książki. Ponieważ podróżowanie jest manią narodową, ilość opowiadań podróżniczych i to ze wszystkich dokładnie kątów świata jest rekordowa.

Książka angielska jest nie tylko pisana przeważnie dobrze (uczciwy poziom techniki pisarskiej) ale i doskonale wydana (okładka twarda jest regułą) a poza tym świetnie reklamowana. To też nic dziwnego, że jeżeli ciekawy jest temat i autor, książki idą w pierwszym nakładzie—przed pojawieniem się (na podstawie zamówień; książki rozsyła wtedy wydawca wprost zamawiającym). Przeciętny nakład dobrej książki jest między 5 a 10 tysięcy egzemplarzy. Nakłady ponad 50 tysięcy nie są rzadkością, 100 tysięcy zdarza się co najmniej raz w roku. Książki dobrze idące mają tytuł "*best sellerów*."

Książka angielska jest tania, jeżeli zważymy, że przeciętnie kosztuje ona od 3 szyl. 6 pensów do 5 szyl. Jest ona zatem—zważywszy poziom cen—trzy razy tańsza od książki polskiej. Poza książkami "z prawdziwego zdarzenia" są jeszcze broszury; w klasie wydawnictw sześciopensowych wymienić należy wydawnictwo "*Penguin*," niesłychanie żywotne i ruchliwe. "Pingwiny" mają poczucie aktualności, nakłady ich idą w dziesiątki tysięcy. Są one lubiane ze względu na estetyczna szatę, poręczną formę i stranny dobór treści.

Nic więc dziwnego, że gazeta, pismo, czasopismo i książki wydawane w tym kraju trafiają wszędzie i czytane są przez wszystkich. Gdziekolwiek rzuci się w Anglii okiem: w autobusie, kolei podziemnej, kolei, w parkach —ludzie czytają. Czytają w schronach, *shelterach*, w najgorszych nalotach. Czytelnictwo w dobie wojny lotniczej, *black-out'u* i t.zw. *air blitzu* nie wykazuje osłabnięcia. Setki tysięcy, które opuściły miasta i udały się do *country*, czytają zawzięcie. Ewakuacja i t.zw. *evacuees* są dzisiaj ostoją czytelnictwa.

Na tym podłożu kwitnie piśmiennictwo angielskie. Dobry autor w Anglii nie potrzebuje przymierać głodem.

Antoni Jawnuta

Z życia obozów

Pół roku w Szkocji

W dzień noworoczny, na szkockim wybrzeżu. . . .

Wczoraj pod wieczór, na Sylwestra, na szkocki pogański Hogmanay, zaczął padać, pierwszy tej zimy, twardy polski śnieg. Gwiazdy, te same co nad krajem, roziskrzyły mroźną noc. Chłodno nam na dworze i w domach, ale ciepło w sercu i raźno jakoś na duszy. . . . Jakże inaczej było w owym czerwcu 1940, w te upalne i znojne dnie, gdy czuliśmy wewnątrz siebie przeraźliwy gryzący chłód. Rozkaz radiowy Naczelnego Wodza, kolumny i kolumienki dążące do wszystkich portów Francji, szalupy, statki i okręty, wiozące nas różnymi drogami do jednego wspólnego celu, a wreszcie — ziemia obiecana — Szkocja. Parę dni przygodnych masowych kwater, potym smętne tygodnie w namiotach pod deszczem, ale potym już początek opamiętania, początek powrotu do siebie, poczucia swojej siły własnej, chęci wytrwania, gotowości służenia. . . .

Pół roku minęło, jak jesteśmy w Szkocji, pół roku jak ważyły się szale losów Brytyjskiego Imperium, z którymi losy Polski są już związane na zawsze. Braterstwo broni i braterstwo ducha. Przyjaciel, który *wyczuł* przyjaciela, bo na początku nie mógł się z nim jeszcze rozmówić.

NASZE "DZYBUKI"

Są wśród nas i dziś jeszcze, doskonali zresztą oficerowie, którzy jednym machnięciem szabli rozcięli gordyjski węzeł obcej mowy. "Z angielskim w Szkocji zrobiłem tak jak z francuskim na kontynencie: po prostu nie uczę się." Można i tak, jak się ma tłumaczy. To są jednak wyjątki. Zwykle, po namiotach, kiedy armia polska była jeszcze, że tak powiem, w stadium koczowniczym, urzędowali, w czasie wolnym od zajęć: "1 starszy dzybuk, 2 dzybuków, 1 młodszy dzybuk." Któż to?— spytacie. Ot, pilni uczniowie, często siwi lub łysi, czasem jedno i drugie, którzy ślęczeli wytrwale nad "Tysiącem słów po angielsku," względnie nad "500 słowami po angielsku" jak nazwał Mac Calluma pewien skądinąd sympatyczny podpułkownik.

Pilny uczeń bierze książkę— "the book" i niebaczny zdradliwej wymowy "ti-ejcz," rąbie z prosta "dzybuk." Nazwa prędko bardzo się przyjęła. "Dzybuk" nauczył się paru słówek, Szkotka nauczyła się liczyć po polsku, i dzięki temu obopólnemu wysiłkowi możemy się już porozumieć . . . w kantynie.

WERSAL W KANTYNIE

Lampy, których używa się poza tym do filmów z amerykańskiego Wild West, rzucają słabe światło na długi namiot kantyny. Podłoga z udeptanej ziemi, na której trawa już tak prędko znowu nie porośnie. W dni deszczowe krajobraz podłogi urozmaica się strumykiem, który ochoczo biegnie na ukos namiotu, po obu stronach błotko z dobrej gliniastej ziemi.

Za ladą "kwiaty" z miejsca pobytu i okolic. Cała gama wieku, warstwy społecznej, walorów zewnętrznych. Piętnastoletnie dziewczynki z pobliskiego sklepiku, dwudziestoparoletnie "ladies" z autentycznym tytułem i wyglądem gwiazdy filmowej, sześćdziesięcioletnie panie ze średniej burżuazji i tak dalej, jak kto chce w kratkę. Każda ma swoich ulubieńców, niektórzy—swoje faworytki. Ton panuje wykwintny, panowie często gęsto cmokają panie w rączkę.

Biorę na bok jednego z Wersalczyków. "Panie majorze—staram się tłumaczyć łagodnie, życzliwie i posłusznie—przecież w Wielkiej Brytanii publiczne całowanie kobiet w rękę jest podkreśleniem, no, pewnej specjalnej bliskości?" Major uśmiecha się i ciągnie mnie do kontuaru: przedyskutujemy tę sprawę z panią, pocałowaną w rączkę. Niewiasta błogo się uśmiecha; teoretycznie przyznaje mi rację; ale "*it is sooo nice,*" jak Polacy całują w rękę. . . . Może i Brytyjczycy nauczą się od nich galanterii.

SZKOCI I ANGLICY

Brytyjczycy. . . . Bardzo prędko nauczyliśmy się tego nowego słówka. Pamiętamy dobrze, ile to dąsów było, gdyśmy mówili "ENGLISH" zamiast "SCOTTISH"—proszę koniecznie, panie zecerze, oba te słowa dużymi literami! Znam taki przemiły dom, gdzie pan—który zresztą studiował w Cambridge—przywiózł do domu żonę z tamtych stron. "*I am English*" tłumaczyła uśmiechnięta pani domu. "*You were*" ("Byłaś nią"), poprawił mąż, bardzo zresztą w żonie zakochany.

Na Boże Narodzenie wydarzył mi się, na tym tle, fatalny wypadek. Zaproszony razem z kilkunastu kolegami do jednego z miejscowych domów, znalazłem się obok miłego pana, który, obserwując towarzystwo, powiedział "To tylko Szkoci tak gestykulują." Przypomniałem sobie naukę sześciu miesięcy: "Oczywiście, w Anglii by czegoś podobnego nie było." Rozmówca był niezmiernie zadowolony z tej mojej uwagi. Zachęcony, ciągnąłem dalej: "*English people are rather stiff*" ("Anglicy są na ogół sztywni"). Anglik—tak, proszę państwa—spiorunował mnie spojrzeniem: "*Only correct*" odpowiedział ("Zachowują się tylko we właściwy sposób"). A ja nie. . . .

To wszystko nie jest zresztą tak bardzo groźne. Wyjaśniło mi się wiele, gdy przeczytałem takie oto zdanie: "Król spotkał się w życiu swoim z wieloma Szkotami, a nawet ożenił się ze Szkotką." Otóż to, Anglia i Szkocja spierają się między sobą, ale są to spory rodzinne lub nawet małżeńskie. Zaś dzieci, jak to czasem bywa, noszą oba nazwiska—ojca i matki.

CHARAKTER NARODOWY.

Ci Szkoci, o których skąpstwie nasłuchaliśmy się mnóstwa anegdotek, zanim wiedzieliśmy dokładnie, gdzie szukać tego kraju na mapie, zdumieli nas swoją gościnnością, która napewno dorównuje polskiej. Dzielą się z nami ostatnią łyżką cukru, ostatnią osełką masła. Piszę właśnie te słowa, będąc na służbie, na dyżurze. Przed chwilą przerwano mi: do drzwi zapukała młoda Szkotka z dużą paczką w rękach: matka jej upiekła dla żołnierzy polskich świąteczne ciasta i chleb, sławny szkocki "*shortbread*"; przyniosła to dla nas w upominku. Sama pracuje na poczcie; jeden z Polaków powiedział jej, dokąd może zanieść swój podarunek.

Oto drobny, lecz jakże typowy przykład. Zasadnicze odniesienie człowieka do człowieka w Szkocji jest życzliwe, przyjazne, pełne zaufania. Dla nas, przemądrzałych ludzi "z kontynentu" wiele rzeczy tutaj może wydawać się naiwnymi, a jak wspaniale będzie, jak dobrze, gdy zdołamy zaszczepić u nas w kraju trochę cnót anglosaskich, tych najprostszych i najbardziej podstawowych!

Wielka Brytania jest matką swobód jednostki, opartych na właściwym zrozumieniu i przestrzeganiu zarówno praw, jak i obowiązków obywatela. Proszę sobie wyobrazić, że na wyspach brytyjskich w ogóle nie ma wojewodów ani starostów, a naczelnicy bezpieczeństwa—podobnie zresztą jak wszystkie władze administracyjne lokalne—są pracownikami państwowymi.

Ale do tego, aby wyszkolić całe społeczeństwo w duchu samorządu, który nie tylko, że sam sobą rządzi, ale sam się też opłaca i sam siebie broni—w myśl potrójnej zasady: *self-government, self-support, self-defence* — potrzeba podobnie jak dla trawnika angielskiego: paruset lat starannej uprawy.

Może—pracując "na trzy szychty"—uda się to nam nieco prędzej. . . .

Alfred Bzowiecki

"Betleem Polskie" u lotników

W dniu 11 bm. wystawiono "Betleem Polskie" L. Rydla w jednym z obozów lotniczych. Przedsięwzięcie to, bądź co bądź w obecnych warunkach trudne do wykonania, zostało z niewielkim tylko opóźnieniem przeprowadzone ku ogólnemu zadowoleniu. Zwłaszcza dla widzów akt drugi, zaktualizowany w ten sposób, że widzieliśmy jako Heroda, Adolfa Hitlera wraz z jego sztabem był bardzo dobry. Również dokomponowanie postaci, nie istniejących w originale "Betleem" a dla nas bliskich i zrozumiałych jak: żołnierz z września i z frontu francuskiego, lotnik, marynarz, piechur i pancerny, dzieci spod okupacji, wywarło odpowiednie wrażenie, za co należy się uznanie twórcy tych postaci i tekstów asp. W. . . . Ogółem biorąc całość zrobiła bardzo dodatni efekt mimo drobnych usterek w tempie samego widowiska, oraz dość długich śpiewów. W porównaniu z imprezami z listopada widać jest znaczny postęp.

Z grających doskonale odtworzyli swe role szer. P. i L., w scenach aktu drugiego, oraz ppor. S . . . i U . . . Pisząc o wykonawcach właściwie wszystkich powinno się wymienić, począwszy od dzieci, które z dużym przejęciem i doskonałą dykcją odegrały swą scenę, a na niemych wykonawcach skończywszy. Chór dobrze ześpiewany i widać, że mimo trudnych warunków może dużo dać z siebie. Krakowiak, dzięki współudziałowi tancerek ze szkoły baletowej angielskiej, zupełnie na poziomie..

Strona dekoracyjna dobrze rozwiązana, zwłaszcza powtórzenie pomysłu z oświetloną mapą Polski i umieszczeniem jej ponad stajenką zrobiło duży efekt. Kostiumy dobrze skompletowane. W reżyserii należy podziwiać ogrom dokonanej pracy. Osobna pochwała należy się Paniom z Koła Rodziny Wojskowej, które nie tylko że brały czynny udział wywiązując się ze swoich ról doskonale, ale ponadto zajęły się przygotowaniem kostiumów do imprezy.

"Betleem" będzie jeszcze powtórzone. N.N.

Odzew marynarza

Ma głękobą rację Redakcja "Polski Walczącej," wzywając nas—marynarzy—w Nr. 36-ym (z ubiegłego roku) do odezwania się. Wojsko umieszcza w tym poczytnym piśmie dużo ciekawych opisów swego życia i swych przewag, tylko o Marynarce Wojennej czytelnik nic dowiedzieć się nie może.

A jest o czym pisać i z czego być dumnym. W Polsce przedwrześniowej byliśmy przecież traktowani jak przysłowiowy "biedny krewny." Niewcześni dowcipnisie pozwalali sobie na sesjach budżetowych obalać programy rozbudowy Marynarki Wojennej żarcikiem, że "na Flotę nie ma floty." Nie przytłumiło to w nas jednak zapału i żmudnie, a konsekwentnie dążyliśmy do raz wytkniętego celu.—Kiedy przyszła godzina próby—mogliśmy zaprezentować doskonałą organizację, pełnowartościowy sprzęt, ducha bojowego i wyszkolenie.

Dzięki rozumnemu przewidywaniu, trzy nasze kontrtorpedowce z momentem wybuchu wojny dołączyły się do wspaniałej Floty Brytyjskiej, by przy jej boku zwalczać wrogich Niemców. Hel był punktem najdłużej bronionym w Polsce a w łonie bodajże najdłużej walczącej jednostki Wojska—Grupie Gen. Kleeberga—znajdowały się dwa bataliony Marynarzy Flotylii Rzecznej. Znane są również ogólnie bohaterskie czyny okrętów podwodnych "Orzeł" i "Wilk," które znalazłszy się na Bałtyku w sytuacji bez wyjścia, potrafiły przedrzeć się przez płytkie i pilnie strzeżone cieśniny duńskie do Anglii, wprowadzając tym wyczynem w podziw najlepszych marynarzy świata— Anglików.

Kiedy wojna w Polsce była już zakończona, tylko Polska Marynarka Wojenna kontynuowała ją dalej, bez przerwy wysoko dzierżąc symbol niepodległości— Polską Banderę Wojenną. Przez przeszło piętnaście miesięcy wojny, okręty nasze spełniały niejedno zadanie bojowe, wykończyły nie jeden wrogi okręt podwodny i podcięły skrzydła nie jednemu niemieckiemu samolotowi. Odrabialiśmy raidy pod nieprzyjacielskie brzegi, byliśmy w Norwegii i przy ewakuacji Flandrii, pełnimy też żmudną służbę patrolową i może jeszcze żmudniejszą w konwojach.

Personel nasz składa się nie tylko z załóg kontrtorpedowców i okrętów podwodnych, które przedarły się z Bałtyku do Anglii. Wielu z pośród nas odbyło kampanię wrześniową w Polsce. Niektórzy na kutrach rybackich i jachtach żaglowych wymknęli się z rąk niemieckich po kapitulacji Gdyni i Helu. Niektórzy przedarli się z Polski, unikając niewoli po kapitulacji Grupy Gen. Kleeberga. Są też tacy, co zmylili czujność straży niemieckich i sowieckich i wymknęli się z obozów jeńców. Jest też jeden, co wzięty do niewoli na Kępie Oksywskiej, w kilka godzin potym, jak indianin wyczołgał się z pod oka wartowników i na piechotę oraz przygodnymi środkami lokomocji pięciokrotnie wymykając się z rąk siepaczy hitlerowskich i bolszewickich, przemierzył całą Polskę z północnego zachodu na południowy wschód i teraz pełni służbę na jednym z naszych okrętów.

Każdy z nas wyniósł wiele doświadczeń z tej wojny. Niejeden mógłby wydać całe tomy ciekawych opisów swych indywidualnych przygód oraz wrażeń odniesionych podczas działań bojowych. Niestety, żywot żeglarza podczas wojny układa się w sposób wybitnie niesprzyjający wszelkim pracom literackim. Okręty pracują od początku wojny prawie bez wytchnienia. Podczas służby na morzu, załoga pełni t. zw. "wachtę bojową" na dwie, a wyjątkowo na trzy zmiany. Uwaga "wachty" jest wytężona do możliwych granic, by nie dać się zaskoczyć lotnikowi lub okrętowi podwodnemu. Postoje w portach są na ogół krótkie, a wyjścia na ląd ograniczone. Częstokroć do napisania listu, trzeba zmuszać się całą siłą woli. Nic też dziwnego, że Ci, którzy najwięcej mogliby napisać, nie są w stanie wykroić nieco czasu nawet na załatwienie prywatnych spraw, a gdy szczęśliwym zbiegiem okoliczności uda się otrzymać któremu krótki urlop, to mija on tak prędko, że człek nawet odprężyć się nie zdąży.

Mimo tak nie sprzyjających warunków zdopingowany wspomnianą na początku odezwą "Polski Walczącej," poczułem się do obowiązku opisać kilka epizodów z życia i służby naszej marynarki Wojennej. Doskonale zdaję sobie sprawę, że zręczniej potrafię operować pendzlem, swajką, czy też jakimś przyrządem nawigacyjnym, niż piórem, liczę tu jednak na pobłażliwość czytelników, którzy wybaczą żeglarzowi pewne niedociągnięcia natury literackiej, w nagrodę za dobrą intencję.

Miło mi będzie, jeżeli który z moich kolegów zechce dorzucić jaki ciekawy opis, byśmy tak wspólnymi siłami mogli informować ogół czytelników o poczynaniach i wyczynach tak ważnej części Siły Zbrojnej, jaką jest Marynarka Wojenna.

Jerzy Szulak

fot. Jan Olgierd Bożenko

Społeczeństwo szkockie tak nam przyjazne miało dwukrotnie sposobność zetknąć się z twórczością malarską jednego z naszych kolegów, jednego z najdawniejszych współpracowników "Polski Walczącej" (jeszcze "koczkodańskiej"), popularnego, dobrotliwego humorysty—Mariana Walentynowicza. Obie wystawy cieszyły się wielkim powodzeniem.

Nasze zdjęcie przedstawia fragment drugiej wystawy i artystę-żołnierza.

Przegląd polityczny

Klęska wojsk włoskich nie ogranicza się jedynie do Albanii i Libii. Wojna rozgorzała i to na dobre w Abisynii. Anglicy rozpoczęli atak jednocześnie od strony Sudanu i Wielkich Jezior, to znaczy Kenii. Oddziały południowoafrykańskie przeszły już w kilku miejscach granicę i walka toczy się wyłącznie tylko na terenie okupowanym przez Włochy. Jednocześnie pod naporem sił angielskich cofają się Włosi w Erytrei.

Nadomiar złego dla Il Duce—*Abissynia rozgorzała powstaniem.* Oficerowie brytyjscy objęli dowództwo poszczególnych szczepów górskich, które, znając doskonale teren i posiadając broń europejską—są faktycznie panami całego kraju. Liczne oddziały włoskie bronią jedynie miast i ufortyfikowanych punktów, między którymi jednak po większej części, nie ma połączenia. Sytuacja w świeżo zdobytej Abisynii staje się groźna.

Walka toczy się pod najwyższym dowództwem Negusa, cesarza Haile Selassie, który od ośmiu dni znajduje się na ziemi etiopskiej. Opuszczając w maju 1936 roku swój kraj, cesarz Selassie wydał odezwę, w której twierdził, że "ustępuje przed ogromną przewagą wroga, ale jest najgłębiej przekonany, iż pobyt jego na obczyźnie będzie chwilowy. Prędzej czy później zobaczy świat, iż brak etyki w postępowaniu międzynarodowym mści się okrutnie. Wojna w Abissynii jest tylko pierwszym aktem tragedii, której doniosłości i grozy nie można jeszcze dzisiaj ocenić. Ale nie można bezkarnie łamać ani układów międzynarodowych, ani paktować ze złem. Naruszenie praw najstarszego na świecie państwa—pomści się na najeźdzcach prędzej czy później. Dzień, w którym znowu wrócę do swego kraju-będzie początkiem końca wrogiej dla pokoju świata potęgi."

Z całego serca należy życzyć, aby się jego prorocze słowa spełniły i to jak najszybciej. Brak należytego sprzeciwu w okresie najazdu włoskiego na Abisynię—był rzeczywiście początkiem tragedii świata. Rozzuchwalił Niemców, którzy widząc bezsilność Ligi Narodów, ubezwładnionej przez ówczesnego premiera Francji Lavala—dokonali pierwszego zamachu terytorialnego, wkraczając w marcu 1936 do Nadrenii. Dalsze wypadki potoczyły się szybko, doprowadzając we wrześniu 1939 do wojny europejskiej, która wkrótce przemieniła się w wojne światową. Jest bardzo charakterystycznym objawem że państwo, które pierwsze naruszyło prawa międzynarodowe—pierwsze ponosi przykre następstwa tego kroku. Sytuacja w Afryce przedstawia się dla Mussoliniego co raz gorzej—i nie jest wykluczone, że armie brytyjskie zlikwidują w ogóle całe "faszystowskie imperium" w Afryce.

Czuje to Il Duce i zdaje sobie sprawę ze wzrastającego kryzysu dyktatury we Włoszech. Jego wizyta w Berchtesgaden jest w pewnej mierze *symbolem tej zależności od Niemców, w jaką wtrącił Włochy.* Nie jest to już spotkanie dwóch władców, jak na Brennerze lub we Florencji. Hitler nie potrzebuje się fatygować "Unterführer" Mussolini otrzyma rozkazy w Bertechsgaden i podda się całkowicie "wspólnemu dowództwu" czyli inaczej bezwzględnemu kierownictwu Trzeciej Rzeszy i to we wszystkich sprawach—zarówno politycznych jak i gospodarczych tudzież, naturalnie, wojskowych. Wzamian za to otrzyma przyrzeczenie inwazji niemieckiej na Anglię.

Inwazja ta, a w każdym razie jej próby nastąpią bez względu na przebieg kampanii afrykańskiej czy albańskiej. *Hitler musi ryzykować decydujące uderzenie na Wyspy Brytyjskie, póki jeszcze posiada przewagę w lotnictwie.* Nie leży zresztą w interesie Niemiec czekanie, aż transporty materiału wojennego z Ameryki wzrosną do tego stopnia, że jakakolwiek próba ataku na W. Brytanię będzie bezprzedmiotowa. I dlatego należy spodziewać się, nawet w bliskiej przyszłości, poważnych wydarzeń na głównym froncie tej obecnej fazy wojny, to znaczy wybrzeżach Anglii, Szkocji lub nawet Irlandii. Od bitew, które tu nastąpią—będzie zależał los świata.

Zdaje sobie z tego sprawę Ameryka. Sprawdzianem jej woli jest chociażby spotkanie Prezydenta Roosevelta z ambasadorem W. Brytanii, Halifaxem. Prezydent Stanów wyjechał na spotkanie ambasadora do Annopolis. Jest to fakt bez precedensu w dziejach dyplomacji, aby szef państwa wyjeżdżał na spotkanie posła. Prasa amerykańska podkreśla słusznie, *iż jest to zaznaczenie wobec całego świata nie tylko sympatii, ale i dążności do jak największej współpracy między dwoma mocarstwami anglo-saskimi.* Decyzja Ameryki nastąpiła późno, ale w Stanach sądzą, że da się nadrobić stracony czas. Olbrzymi przemysł amerykański stoi do rozporządzenia W. Brytanii, a o to przede wszystkim chodzi.

Aby odciągnąć Amerykę od Europy—*stara się Hitler skierować całą uwagę Stanów Zjednoczonych w stronę Dalekiego Wschodu.* Dyplomacja niemiecka czyni najdalej idące wysiłki, aby skłonić Japonię do czynnego przystąpienia do wojny, czyli inaczej mówiąc do zbrojnego konfliktu japońsko-amerykańskiego. Lecz w Tokio nie okazują zbytniego zapału.

Przyczyn, dla których Japonia obawia się w tej chwili angażować w wojnie—jest kilka. A więc przede wszystkim Chiny. Kampania w Chinach idzie źle. Ukazało się niedawno sprawozdanie ze strat japońskich, poniesionych od początku wojny, to jest od lipca 1937. *Wynoszą one w zabitych i ciężko rannych—1,676,000 ludzi; 45% ogólnych efektywów japońskich.* Jest to liczba olbrzymia i zastraszająca wobec nieproporcjonalnie małych wyników.

Ogólna sytuacja przedstawia się dla Chińczyków bez porównania korzystniej, aniżeli w 1937. Marszałek Tszang—Kai—Czek rozporządza co raz to lepiej uzbrojoną i rosnącą z miesiąca na miesiąc armią. W kołach japońskich utrzymuje się przekonanie, że "całkowita pacyfikacja" Chin będzie wymagała wystawienia i wysłania na kontynent azjatycki siedmiomilionowej armii. A na taki wysiłek może sobie pozwolić Japonia tylko z największą trudnością. W dalszym ciągu, państwo Wschodzącego Słońca nie posiada najważniejszego dzisiaj produktu—a mianowicie niezbędnej do prowadzenia wojny nafty. Stany Zjednoczone wstrzymały wysyłkę nafty do Japonii. Tokio zdane jest na łaskę i niełaskę Indyj Holenderskich, które, jak wiadomo, znajdują się wraz z całą Holandią, w wojnie z Niemcami. Wobec silnych baz angielskich w Singapur atak na Wyspy Sundajskie byłby bardzo trudny, jeżeli w ogóle nie niemożliwy. Wreszcie źródła naftowe można, w ostatecznym wypadku, zawsze zniszczyć a przynajmniej unieruchomić na dłuższy przeciąg czasu.

W końcu poważną rolę w posunięciach Japonii gra również Rosja. Polityka Kremlu jest w dalszym ciągu zagadkowa. Ambasador niemiecki w Moskwie na próżno starał się przez kilka tygodni o posłuchanie u Mołotowa. Komisarz dla spraw zagranicznych i faktyczny premier sowiecki—odkładał tę wizytę pod rozmaitymi pozorami. Powód prosty. Ambasador niemiecki miał uzyskać zapewnienie, że Rosja, na wypadek wejścia Japonii do walki—pod żadnym względem nie naruszy tego stanu rzeczy, jaki wytworzył się w Mandżurii, poddanej całkowicie rządom japońskim. Powtóre Rosja miała oficjalnie zrezygnować z jakiegokolwiek wdawania się w sprawy chińskie.

Pod tym jedynie warunkiem Japonia mogłaby przyśpieszyć swe postanowienie czynnego udziału w wojnie. *Otoż w Moskwie nie spieszą się bynajmniej z daniem takiego zapewnienienia, które by było jednoznaczne z likwidacją wpływów rosyjskich w Azji.* A Rosja jest państwem o wiele bardziej azjatyckim, aniżeli europejskim—i nie okazuje najmniejszej chęci do wycofywania się z terenu właściwych i nawet żywotnych swych interesów. Stalin pragnie do końca uprawiać grę, która polega na ustawicznym cofaniu się przed roszczeniami niemieckimi, ale tylko do pewnych granic. *Nie jest bynajmniej wykluczone, że sprawy Dalekiego Wschodu mogą się stać tym kamieniem, o które potknie się dotychczasowe porozumienie niemiecko-sowieckie.*

Tak więc na Dalekim Wschodzie sprawy osi nie stoją w tej chwili nadzwyczajnie, jakkolwiek wszelkie niespodzianki są możliwe. Sytuacja gospodarcza Japonii pogarsza się z każdym tygodniem—i dyktatura partyj wojskowych może uciec się do rozpaczliwego, ale jedynego środka, jaki zostaje dyktatorom: *do wojny, prowadzonej w warunkach niezwykle ciężkich.*

Zasadniczą zmianę w polityce japońskiej—mogłyby spowodować tylko klęski niemieckie. Dlatego też z taką drobiazgową dokładnością przygotowuje Hitler swój atak na Anglię.

tk

Skrzynka pocztowa

"Jako chory, leżący już piąty miesiąc w szpitalu, pozwolę sobie zabrać trochę cennego czasu Pana, tym bardziej, że zdrowi napewno zabierają go więcej. Uprzejmie proszę o przesłanie mi "Polski Walczącej" z dn. 14.XII.1940. Bardzo ważny dla mnie numer.

Leżę w szpitalu angielskim. Jest nas około 30. Ja leżę na oddziale gdzie są sami Anglicy, więc może Pan sobie wyobrazić, czym dla mnie jest paczka gazet! "Polska Walcząca" dochodzi. Czytamy ją od deski do deski.

A teraz jeszcze jedno: Może ktoś napisze coś o noszeniu orderów. Wie Pan, że tu nosi jeden oficer. . . wstążkę rumuńską. A przecież Rumuni teraz to sprzymierzeniec osi. W ogóle uważam, że powinno się nosić tylko bojowe wstążki a już . . . rumuńskie to nie ma sensu. Mały artykuł dobrze zrobi. To są moje skromne uwagi, może nie mam racji—ale piszę z życzliwości. Serdecznie Pana pozdrawiam."

Kazimierz Wajda (Szczepko)

* * *

"Prosi Pan o uwagi o "Polsce Walczącej," pyta mnie Pan, co się o niej myśli—myślimy wszyscy o niej jednakowo—jest najlepszym pismem polskim, ni słyszałem o niej nigdy słów krytyki, a czytają ją wszyscy. I to jak chętnie! Najlepiej podobają się wszystkie opisy wojen i bitew, opisy życia naszych kolegów-żołnierzy, i szkice sytuacyjne."

Pyta Pan czego się od niej chce—chcielibyśmy, żeby wychodziła jak najczęściej, chcemy tak wszyscy bez wyjątku, a dowód—proszę przyjechać i zobaczyć jak w każdą sobotę czy to w kasynie oficerskim czy na sali żołnierskiej czytają wszyscy "Polskę Walczącą." I wtedy przekona się Pan, że jest ona dobra, że uważamy ją wszyscy za swoje pismo. Chcielibyśmy czytać w niej artykuły przede wszystkim załóg bombowców polskich, artykuły—sprawozdania z nalotów na ziemie polskie, a trzeba ich dla podtrzymania na duchu naszych biednych braci."

St. Kwaśniewski

* * *

"Zeche Pan przyjąć Panie Redaktorze wyrazy prawdziwego uznania za doskonały poziom "Polski Walczącej." Wydaje mi się jednak, że warto by zaapelować do żołnierzy, tych najprostszych, nawet zwłaszcza do nich, by próbowali pisać swoje wrażenia, przeżycia i pomysły nie zrażając się tym, że w piśmie Pańskim wypowiadają się najlepsze pióra naszej brytyjskiej kolonii."

Łączę Panu Redaktorowi życzenia dalszej owocnej pracy i nowych sukcesów, jako krajaninowi zasyłam starolwowskie "Daj Boże zdrowie."

Jerzy Lerski

Jeśli to jest jeszcze potrzebne po tylu wezwaniach, po serdecznym zrównaniu nas wszystkich i współdziałaniu nas wszystkich w tym wspólnym piśmie—ponawiamy jak najgoręcej apel do kolegów żołnierzy bez względu na stopień do pisania w "Polsce Walczącej." Możemy ich szczerze zapewnić, że najwybitniejsi pisarze, którzy piszą tu dla nas i razem z nami są głęboko zainteresowani tym co nas dotyczy i jest poniekąd naszym obowiązkiem odwzajemnić serdecznością za serdeczność.

Sztychem

METODA DYSKUSYJNA

Kłóciło się dwóch kiedyś, kto z nich Polak lepszy.
Widząc, że już słabszego chwycił za kark krzepszy,
a tamtem beznadziejnie z rąk się mu wydziera,
rzekł trzeci:—"To zwycięstwo metodą Hitlera."

JEDEN, DRUGI I TRZECI

Jeden pragnął przewodzić, drugi pragnął użyć,
a trzeci chciał po prostu dobrej sprawie służyć.
Każdy żyje, jak umie, ale rzecz ciekawa,
z którego z nich pożytek miała dobra sprawa?

PRZY KOŚCI

Zapomniawszy braterskiej zgody i miłości,
waśnili się raz bracia o mięso przy kości.
Rzekł im ktoś:—"Mięso smaczne, temu nikt nie przeczy,
ale spór wasz psi raczej jest, niźli człowieczy."

SKĄPEMU

Nie chciałeś dla obrony kraju mienia stracić,
pożałowałeś mieszka—musisz krwią zapłacić,
a co się tyczy mienia, to rzecz oczywista,
że nie ty, ale wróg twój dzisiaj zeń korzysta.

Antyk

rys. Tony

"Wąż morski"—czyli sposób dostania się do Anglii

SPIS RZECZY

Tadeusz Kiełpiński: Nie emigracja-lecz wojna.—*Stanisław Zatorski*: Polska 1940 (1. jak się po niej podróżuje).—*Tymon Terlecki*: Bolesna sprawa.—*XXX*: Za chińskim murem.—*Franciszek Lenczowski*: Prawa Polski do Prus Wschodnich.—*Półkozic*: Wola człowieka w lotnictwie.—Za najwyższe męstwo. . . . Dekoracja lotników polskich i angielskich.—*Kamil Bogumił Czarnecki*: Pancerniacy idą na piechotę.—*Pilot "303" W.U.*: Ostatni pocisk.—*Bohdan Pawłowicz*: Wojna na morzu.—*Antoni Jawnuta*: Anglia i Anglicy.—Z życia obozów: *Alfred Bzowiecki*: Pół roku w Szkocji.—*N.N.*: Betleem u lotników.—*Jerzy Szulak*: Odzew marynarza.—Wystawy Mariana Walentynowicza.—*tk*: Przegląd polityczny.—Skrzynka pocztowa.—Sztychem.—2 rysunki. 1 mapa. 4 fotografie.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—I cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam—sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.

KONKURS NA SZTUKĘ O OBRONIE WARSZAWY

P.E.N. Klub przypomina, że termin składania rękopisów konkursowych upływa dnia, 1 marca. Jury konkursowe stanowić będą pp. Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Antoni Cwojdziński, Antoni Słonimski i Tymon Terlecki.

Adres P.E.N. Klubu: 55, Princes Gate, Polish House.

KONWERSACJA I POGŁĘBIANIE ZNAJOMOŚCI
języka angielskiego nową i szybką metodą przez młodą panią
Zgłoszenia telefoniczne w godz: 9-11 i 5-7, PADdington 4462. room 6.